Nr. 4. Warszawa, dnia 27 (15) Stycznia 1894 r. Rok XIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

PRZEWRÓT W SERBII.

Dopóki maszyna parlamentaryzmu była prostą i zastosowaną do przeznaczeń niezbyt złożonych, kierowanie nią było bardzo łatwem. W miarę wszakże jak samo życie splątało się w swych stosunkach i potrzebach, działanie tej maszyny coraz częściej potyka się o trudności. Wiadomo, ile kropli potu zrosi czoła mężów stanu niemieckich, francuskich lub angielskich, zanim oni zdołają pogodzić sprzeczne interesy przedstawicieli narodu i przeprowadzić jakąkolwiek gruntowniejszą reformę. Cóż dopiero mówić o narodzie prostym, nieokrzesanym, miotanym gwałtownemi namiętnościami, kłócącym się o najdrobniejsze różnice swych dążeń, a przytem obdarzonym prawami najdalej idącej konstytucyi, z jakiego składa się Serbia! Człowiek dojrzały, wytrawny, umiejący opanowywać tego rodzaju żywioły i radzić sobie w najkłopotliwszych z nimi starciach, miałby pracę bardzo ciężką i wcale niegodną zazdrości; czy więc można było łudzić się nadzieją, że jej podoła dziecko, zaledwie wypuszczone z pod opieki guwernerów! Gdy młodociany król serbski nagle usunął regentów, ogłosił swoje samodzielne rządy i wybrał sobie nowych ministrów, zachwycano się nietylko jego energią, ale dojrzałością umysłu. Jedna i druga były złudzeniem. Zamach stanu w Serbii przeszedł gładko nie dlatego, że kilkunastoletni król objawił szczególne przymioty, ale dlatego, że ów zamach uplanowali i wykonali ci, którzy posiadali odpowiednią zręczność i siłę — ukrywszy swe sprężyny i osoby po za usamowolnionym monarchą i wysunąwszy go na plan pierwszy. Zrzekli oni się na rzecz jego zaszczytu i poprzestali na korzyściach przewrotu. Od tej bowiem chwili nie mieli właściwie przeciwników. Jako stronnictwo skupczyny, posiadali radykałowie taką większość, że mogli zupełnie lekceważyć inne; a gdy nadto oczyścili rząd z pierwiastków nieprzyjaznych, zawładnęli krajem niepodzielnie. Ci ludzie mogą posiadać bardzo wiele zdrowego rozsądku i znajomości spraw społecznych, ale zwykle zbywa im, jak wszystkim ludziom prostym, na zmyśle politycznym i umiejętności oceniania względów państwowych. Im się zdaje, że uporem przełamią wszelką siłę, że przed ich interesem wszystko się ukorzy, że mogą bezkarnie wyzywać gniew najpotężniejszych sąsiadów, że będąc u siebie w domu, nie potrzebują się liczyć z nikim. To też przez zemstę za niewpuszczoną w granice jakiegoś mocarstwa trzodę chlewną gotowi są zerwać z niem stosunki. Rozważanie konieczności międzynarodowych jest im zupełnie obce, a cała ich polityka zagraniczna schodzi tylko do szukania rynków, gdzieby można drogo sprzedawać a tanio kupować. Skoro więc minęły pierwsze uniesienia po dokonanym przewrocie, młody Aleksander, który nie miał dokładnego pojęcia ani o ludziach, ani o sprawach państwowych, ujrzał się nagle w otoczeniu, którego nie mógł opanować, a które go przeraziło swym chłopskim radykalizmem. Zapewne z początku sądził, że przy pomocy życzliwych i doświadczonych doradców sprosta swojemu ciężkiemu zadaniu, ale wkrótce przekonał się, że ono przerasta jego siły. Pierwszym tego dowodem był proces, wytoczony przez radykałów poprzednim ministrom liberalnym. Ze stanowiska konstytucyjno-parlamentarnego był to gwałt, gdyż ci ministrowie nie dopuścili się żadnych przestępstw, oprócz tego jednego, że rządzili w widokach własnego stronnictwa. Postawienie ich przed sądem i zagrożenie im surową odpowiedzialnością równało się np. oskarżeniu członków gabinetu torysowskiego przez ministeryum whigów w Anglii. Jak się dziś okazuje, młody król był przeciwnym temu procesowi, któremu jednak nie mógł zapobiedz. Do tego przyłączyło się nadwyrężenie stosunków zewnętrznych (zwłaszcza z Austryą) i inne zatargi. Czy podobna dziwić się dziecku, niezdolnemu wybrnąć z kłopotów, że ono wbrew prawu odwołało się, wiedzione naturalnym instynktem, do ojca? Milan dużo nagrzeszył, sam nietylko zrzekł się tronu, lecz sprzedał swe prawo pobytu w kraju i skazał się na dobrowolne wygnanie, jego więc przyjazd do Serbii był formalnie złamaniem zaprzysiężonych zobowiązań. Ale czy jego syna należy za to obwiniać, że wezwał ojca? Naturalnie radykałowie zaprotestowali przeciwko powrotowi Milana i prawnie mieli za sobą racyę. Następnie gdy on im w imieniu króla przedstawił warunki, zmieniające stosunek przedstawicieli rządu i narodu do monarchy a nadewszystko zapewniające mu większą niezależność i bezpośredni wpływ na bieg spraw państwowych — również odrzucili je i również ze względów formalnych zasadnie. Ale pomimo tych racyj, zrozumieli oni chyba, że obecny stan rzeczy dłużej trwać nie może. W krajach bardziej politycznie i umysłowo wykształconych to starcie skończyłoby się jakąś prawidłową zmianą konstytucyi. W Serbii, gdzie spory rozstrzyga zręcznie użyta siła, rezultat zależy od tego, kto ją posiada w wyższym stopniu i lepiej potrafi użyć. Rozumie się, takiej siły dostarcza czynnikom politycznym głównie armia: jeżeli tedy wojsko stanie za królem, przeprowadzi on przy jego pomocy i za wska-

zówką ojca wszystko, czego żąda. Na tym właśnie punkcie spoczywa dotychczas znak zapytania, budzący tem większą wątpliwość, że radykałowie są rzeczywistymi wyrazicielami przekonań większości narodu a więc posiadają również sympatyę armii. Położenie jest dotychczas niepewne, zaczął się rozgrywać dopiero pierwszy akt dramatu, niepozwalający przewidzieć, jakim będzie ostatni. W każdym razie będzie ciekawy.

OSTATNIE DZIEJE WĘGIER.

(*Kallay o Andrassym*, p. J. P., Warszawa, 1893).

Bardzo wiele ciekawych epizodów przedstawiają nowożytne dzieje Węgier. Kraj, w pierwszej ćwierci bieżącego stulecia posiadający tyle jeszcze znamion feudalizmu, obecnie stał się państwem współczesnem, szybko podążającem po drodze przemysłowej. Wybitnymi przedstawicielami polityczno-społecznego rozwoju są postacie bardzo ciekawe. Szereg ich rozpoczyna hr. St. Szechenyi, pochodzący z możnej, arystokratycznej rodziny, tradycyonalnie wiernej dynastyi habsburskiej i owianej poczuciem obowiązków względem kraju rodzinnego. Po odbyciu kampanii 1815 r. zwiedził kraje europejskie. Nowe idee opanowały jego umysł. Zwłaszcza Anglia wywarła potężne wrażenie. Stopniowo owłada nim myśl zostania reformatorem, mającym obudzić drzemiące siły na Węgrzech i wykwintny światowiec zaczyna badać tajne sprężyny życia angielskiego, przypatrując się warsztatom fabrycznym, pracom inżenierów, organizacyi meetingów. Po powrocie do kraju ideje takie zaczęły bujnie w nim plonować. W r. 1825 głównie przyczynił się on do utworzenia akademii węgierskiej, mającej czuwać nad rozwojem języka narodowego. W r. 1831 wydał broszurę p. t. „Teatr węgierski,“ w której wzywa literaturę dramatyczną, ażeby się stała nauczycielką narodu. Broszura ta wywarła wielkie wrażenie i w r. 1832 sejm peszteński przyoblókł myśli jej w formę prawa. Działalność Szechenyiego była nieustanna, energiczna i bardzo pomysłowa. Urządził kasyno w Peszcie, założył stowarzyszenie hypiczne, przyczem bardziej chodziło mu o zbliżenie ludzi, niż o cele hodowli. Nareszcie wniósł wielki swój projekt żeglugi na Dunaju, zapomocą której chciał zdjąć blokadę z Węgier, utorować im drogę do morza Czarnego, otworzyć bogactwom krajowym rynki Wschodu. W roku 1830 ukazał się pierwszy z jego wielkich manifestów p. t. „Kredyt,“ gdzie w imię zasad nowoczesnych poddał ustrój feudalny Węgier nieubłaganej krytyce. W obronie tego ustroju wystąpił hr. J. Dessewfy, utalentowany pisarz, widzący tylko duch patryarchalny starych zwyczajów. W roku 1833 wydał najważniejszy swój manifest „Stadyum,“ tj. „Pole wyścigów.“ Podane w nim zostały główne zasady przetworzenia się społecznego Węgier, które streścić można w tych słowach: oswobodzenie ziemi, wolna praca, równość wobec prawa, usunięcie przywilejów, paraliżujących handel i przemysł, oraz podatków, ciążących na najbardziej zasłużonych. Widzimy więc, że w Węgrzech z orędownictwem szczepienia kapitalizmu wystąpiła pewna część arystokracyi rodowej oraz szlachty majętnej. W końcu do walki z Sz., oprócz starego madjaryzmu, będącego przedstawicielem dążeń feudalno-ziemiańskich, wystąpiła inteligencya mieszczańska, kierowana przez Kossutha. Rewolucyjnie usposobiona, nie mogła poprzestać tylko na hasłach „pracy organicznej.“ Wkrótce Kossuth uzyskał wpływ przeważający, tak iż Sz., walcząc z nim, nie śmiał zupełnie odeń się odłączyć. Szowinizm narodowy i chęć ucisku, wchłonięcia innych narodowości, pozostały obce Szechenyiemu. Dążył on tylko do wyzwolenia moralnego i materyalnego Węgier, stąd walka z Kossuthem, ciągnąca się od 1843 do 1848 r. Skołatany i strawiony duch „wielkiego magjara“ nie mógł przenieść wybuchu rewolucyi 1848 r.: uległ obłąkaniu. Pamiętny ten rok zamknął drugi okres życia społecznego Węgier w bieżącym wieku. Fr. Deak z pochodzenia był szlachcicem, z zawodu adwokatem. Przed r. 1848 przyjmował już bardzo czynny udział w życiu politycznem swej ojczyzny. Podzielał zasady opozycyi i chciał urządzić społeczeństwo węgierskie na zasadach równości i sprawiedliwości, a zarazem bronić starodawnych swobód i instytucyj, rozwijać język i narodowość własną. Był konsekwentnym wyznawcą oportunizmu politycznego, rzecznikiem warstwy szlacheckiej i mieszczańskiej, adwokatem powolnego i systematycznego przetwarzania się Węgier na społeczeństwo kapitalistyczne, bez stanowczego i radykalnego stargania form starodawnych. Hasłem jego było: „jestem reformatorem, lecz nie rewolucyonistą.“ W r. 1847, jako minister, pracował gorliwie nad pojednaniem Węgier z rządem.

Skoro w Austryi ustąpiły czasy reakcyi, rząd usiłował porozumieć się z Deakiem. Układy te przyczyniły się jeszcze bardziej do powiększenia jego wpływu. W oczach swego społeczeństwa zawsze pozostawał on kamieniem probierczym zdrowego rozsądku; „trzeźwa“ część jego współrodaków śmiało i z ufnością podążała za jego głosem.

Dalsze dzieje Węgier są już bardziej znane. Po utworzeniu się pierwszego ministeryum, chciano widzieć Deaka na jego czele. Ale on nie zgodził się na to i d. 18 lutego 1867 r. hr. Jul. Andrassy został zamianowany prezesem gabinetu. Deak pozostał dalej na czele większości, popierającej rząd. We wszystkich ważnych kwestyach głos jego był stanowczym.

Hr. Andrassy — jak powiada Kallay — był najznakomitszym przedstawicielem cywilizacyi zachodniej, zaszczepionej na narodowym pniu węgierskim. Unikał jednak wszelkiej jednostronności, a walcząc za ideje, był zarazem jednym z najbardziej praktycznych mężów stanu. W jego politycznem działaniu uderza nas harmonia między idealizmem a praktycznem pojęciem każdej sprawy. Nigdzie nie spuszczał z oka głównego swego celu, ale zmysł jego praktyczny wskazywał mu, że należy strzedz się przesadnej, bezowocnej doktryneryi. Zawsze liczył się z okolicznościami. Jako minister spraw zewnętrznych, głównie spowodował zbliżenie się do Niemiec i Włoch. Dążył wytrwale, iżby Austro-Węgry stały się koniecznym warunkiem równowagi europejskiej. Zajęcie Bośnii należy przypisać jego inicyatywie. Głównem hasłem jego było: wspólność interesów obu połów monarchii i odrębność państwowa Węgier. Armia honwedów, której był inicyatorem, doskonale wyrażała jego stanowisko.

Bron.

1)

ODPOWIEDŹ.

przez

LASSOTĘ.

Wyznanie, rzucone w przestrzeń, obco i cudacznie brzmieć musiało, skoro skonało bez echa w milczeniu.

Zdawało się przez chwilę, że nie on, ale ktoś inny, obcy i szyderczy gwałtem je wyrwał z duszy i rzucił na pośmiewisko. Nic mu nie odpowiada.

Czemu ona milczy, ta dziewczyna?

Błądzą w jej oczach jakieś ognie, po twarzy jakieś cienie, ale to sfinksowy język... On języka tego nie rozumie, czuje tylko ból w sercu i zamęt w głowie. Czemu milczy?

Wiedziała, że ją kocha. Szedł prostą drogą bez psychologicznej krętaniny, bez gry w chowanego.

Wiedziała, że ją kocha... była wzajemną... czemuż milczy w stanowczej chwili?

Przed chwilą mówił długo, długo, szczegółów nie pamięta... lecz było tam słowo... tętniło w nim życie, dusza jakaś, po drodze więzło mu w gardle, w ustach, łunę rzuciło na twarz, a tak obco zadźwięczało w przestrzeni i taką pustkę zostawiło w piersiach...

Nie spuszcza oczu z jej twarzy: ot około czoła, skroni, policzków występuje ciemnopąsowa obwódka i powoli rozszerza się na całą twarz.

Nie patrzy na niego.

— Przemówże co — rzecze twardo: raz skończyć trzeba.

Szorstkość tonu jej nie zraża, podnosi na niego oczy smutne i dobre.

— Tak, skończyć trzeba... Nie, nie mogę! Idź i nie wracaj więcej...

Teraz mu łatwiej, coś wyjaśniać się zaczyna. Mówi więc prędko, choć bezładnie i gorączkowo: poznał ją, pokochał, była mu tak bliską, tak serdecznie miłą, ożywiała ich myśl wspólna, wiedziała, że ją kocha, szła na spotkanie tej miłości...

Pocóż teraz to milczenie, czy ta pogarda, maskarada, psychologiczne zagadki, misterne łamigłówki? On nie ma głowy do tego, nie ma serca na druzgotanie, łzami i krwią ugasi to szaleństwo!

Jeśli to kokieterya tylko, to poco przybierać maskę człowieka? Są inne, zabawniejsze, bardziej ponętne, bardziej pociągające tłum, a... mniej szkodliwe.

Czy jej koniecznie zależy na tem, aby w swych drapieżnych rękach ściskać serce, żywiej drgające? Prawie nie wie, co mówi, pragnie zdruzgotać ją i siebie.

Dziewczyna podchodzi do niego blizko, jeszcze bliżej, kładzie rękę na ramieniu i zwraca ku niemu twarz z tymi cienkimi rysami, małą, drobną biedną twarzyczkę, poplamioną łzami i ciemnemi plamami rumieńca.

On milknie, bo czuje dławienie w gardle.

— Nie, nie to — mówi ona błagalnym tonem: kokietką względem ciebie... nie mów tak do mnie! W jej głosie szarpiąca tęsknota. Ręką go ku drzwiom popycha.

— Dowiesz się, dowiesz, ale nie w tej chwili! Nie mam odwagi i potrzebnej siły. Miłości twej przyjąć nie mogę... Nie mów, że udawałam, byłeś mi drogi.

Otwiera drzwi, popycha go lekko, na progu żegna długiem spojrzeniem.

Tak, ona nie kłamie, jest w niej miłość, żal, tkliwość, lecz...

Drzwi zamknięte.

* * *

Tu na ulicy daleko mu lepiej. Dzień szary, cichy, łagodnie chłodnawy koi go miękką tęskną pieszczotą.

Wiatr owiał czoło, lepiej mu.

Z NIEMIEC.

Berlin, 20 stycznia.

Giełda i prasa. — Przekupstwo, jako system logiczny. Opowieść d-ra Müllera. — Bismark i hr. Armin. — Haus Blum i honor książęcy.

Płomienie pożarne „Panamy“ niejedną oświetliły dla oczu ludzkich szczelinę w budowie społeczeństwa francuskiego. Przed okiem i sumieniem Europy stanęły w zwartym, długim szeregu postacie, którym los łaskawy dozwalał prząść bezkarnie nić swych nikczemnych uciech, prawie że ginący w nieskończoności szmer ludzi dobrze i źle urodzonych, uczonych i adwokatów, zwykłych rzezimieszków i artystów w tym fachu. Ale w tym chórze jeden głos grzmiał najsilniej — głos reportera, dziennikarza, redaktora, tych wszystkich, którzy związani są z prasą. Nie napróżno nazwano ją kiedyś szóstem w Europie mocarstwem. Nie szukamy umyślnie dzisiaj różnic ani podobieństw, jakie przezwisko to ugruntować by mogły, ale jedna różnica rzuca się w oczy przedewszystkiem: to tajemniczość prawie że granicząca ze spiskiem. Wokoło jednego nazwiska, zwykle nieposiadającego wielkiej wartości, zbiera się gromada ludzi, która tem samem traci swe nazwiska, swoje poglądy, swoją uczciwość — a myśli, czuje i postępuje tak, jak nakazuje ewangelia, na którą przysiągł reporter. Jakie to bywają kodeksy, jacy ludzie, widzieliśmy przed rokiem we Francyi. Niekiedy tylko, najczęściej z innego, obcego ogniska padnie snop promieni i rozproszy na chwilę ciemności. I w Niemczech — mimo całą zeszłoroczną uciechę ze skandalów zareńskich — od czasu do czasu przypadek pozwala odsłonić nieco szczelnie na wszystkie guziki i pętelki zapiętą — jak przystało w państwie „starych panien i dobrych obyczajów“ — prasę niemiecką i wtedy — mogą sobie i kogut gallijski i niemiecka kwoka wykonać z artyzmem jedno z owych *pas de deux*, jakie notuje skrzętnie repertuar baletu w historyi ludzkiej. Ot — jak i dzisiaj naprzykład.

Jest w Niemczech już od czasu pewnego na porządku dziennym projekt reformy giełdy. Ustanowiono osobną komisyę rzeczoznawców,“ złożoną z urzędników, profesorów, ziemian i bankierów, która wypracowała odpowiedni memoryał i w szeregu projektów żąda także utworzenia sądu. Sąd ten między innymi rozpatrywać będzie także sprawy, wynikające z „przyjmowania podarków, mających na celu poparcie ofiarodawcy w tym albo innym kierunku.“ „Jeżeli bowiem — objaśnia dalej memoryał — komisya żywi przekonania, że wielka część organów prasy, jest niedostępna dla przekupstwa, to jednak musi przypuścić, że pewien szereg pism otrzymuje regularnie zapomogi pieniężne od większych domów bankierskich.“ Tych kilka zdań mogłoby wystarczyć, ażeby przekonać fanatycznego nawet wielbiciela obyczajowości pruskiej. Jeżeli jednak przejrzymy protokuły posiedzeń komisyi, to zobaczymy nietylko obraz stosunków społecznych — ponury, jak wszystkie tego rodzaju obrazy, ale zrozumiemy w pewnej jej części — epokę, w której żyć nam wypadło. Oto np. słowa konsula generalnego, Russella, naczelnego dyrektora najpoważniejszego domu bankierskiego w Niemczech (Disconto-Geselschaft). „Wogóle — mówi ten pan — przyjąć musimy jako zasadę, że prasa jest dzisiaj rzemiosłem, jak każde inne, przedsięwzięciem kupieckiem, obliczonem na zyski dla przedsiębiorcy. Chodzi więc przedewszystkiem o zdobywanie ogłoszeń i zauważyć można łatwo, z jaką natarczywością dobijają się o nie agenci przed każdą większą emisyą: odmówisz — a nazajutrz odpowiedzą ci artykułem, który podkopie istnienie firmy...“ I p. Russell wzmiankował o redaktorach, albo innych, niekoniecznie tyle odpowiedzialnych osobistościach, którym w razie potrzeby należy przemówić do serca i przekonań o konieczności i moralnej podstawie pewnych zamierzonych operacyj więcej niż podejrzanej wartości. W innem miejscu dr. Mueller, redaktor handlowy *Kreuz Zeitung*, opowiada kilka ciekawych szczegółów autobiograficznych. „Kiedy zacząłem uczęszczać przed 3-ma laty na giełdę, otrzymałem w krótkim czasie kopertę, w której znalazłem kilkaset marek i kartę wizytową bankiera. Tutaj przeczytałem tylko słowa: „W załączeniu udział pański w tej a tej emisyi.“ Odesłałem oczywiście natychmiast i kartę i pieniądze. Kiedy u jednego z kolegów dowiadywałem się, komu zawdzięczam tę przysługę, usłyszałem w odpowiedzi: Cóż to za głupiec, wszak powinien był wiedzieć, że w podobny sposób nie można panu przesłać pieniędzy; przecie mogłeś pan otworzyć kopertę w obecności osób trzecich. Powiem mu, ażeby panu otworzył rachunek bieżący i zarazem zakomunikował ilość posiadanych przez pana akcyj. „Oczywiście podziękowałem. Ale następnie przy każdej emisyi słyszałem z ust najbliższych kolegów po piórze te same ciągle zdania: „Czy posiadasz pan już swój udział w dzisiejszej emisyi? Albo: „Dzisiaj ten lub inny bank rozdaje gratyfikacye prasie, czy jesteś pan na liście“? Przyszedłem wreszcie do wniosku, że mogę z łatwością poznać całkowity mechanizm wszystkich szwindlów giełdziarsko-prasowych i kazałem się przedstawić większym bankierom tutejszym. Cóżem się wtedy nasłuchał! Jeżeli w uścisku ręki nie dawano mi wprost łapówki, to mrugano na mnie tajemniczo okiem i wskazywano źródło dochodu; nawiązywano ze mną krótkie rozmowy, w których słyszałem: jeżeli nie chcesz pan dać swej karty albo wskazać adresu, to powiedz, w jakim banku masz otwarty rachunek — a wtedy bezimiennie prześlemy panu należną sumę — hm, hm... Okazuje się, że większość pism i redaktorów (ci panowie pobierają od każdego z banków po kilka tysięcy rocznej pensyi), stoi po prostu na żołdzie giełdy. Oczywiście zależność ta nakłada pewne powinności: redaktor staje się urzędnikiem, który z obowiązku musi z uległością dewotki słuchać rozkazów — a już mowy być wcale nie może o jakiejkolwiekbądź krytyce gospodarki szulerów i szachrajów.“

Oto obraz nie fikcyjny, nie wyssany z palca gwoli zilustrowania pewnych teoryj społecznych; przeciwnie, jest to najistotniejszy, żywy akt stenograficzny, protokół sądowy. Jest to jednak oskarżenie, sięgające dalej może, niż wskazują same fakty, bo fakty mają przyczyny głębokie i poważne, a do przyczyn sięgnąć należy tym, co skutki tylko reformować zamierzają. Wiemy dobrze, gdzie szukać owych przyczyn, które dziennikarza i poetę, uczonego i artystę doprowadzają do jednego wspólnego mianownika, każą im poruszać się w takt jednej melodyi, myśleć wedle jednej formuły. Są ludzie, którzy rozwiązali już tę formułę i wskazali zawartość ukrytych w niej pierwiastków.

Już oddawna, prawie że nazajutrz po wyprowadzeniu się ks. Bismarka z pałacu kanclerskiego na stałe mieszkanie do Friedrichsruh, wymieniano głośno dzienniki, które i obecnie znajdują się w blizkim (jak

---

Stara się rozproszyć mglisty całun, pokrywający umysł, opanować myśl natrętną, nieujętą w słowa, nieuchwytną, cieniutką, zjadliwą, a tak głęboko nurtującą.

Jest w niej coś z upokorzenia odepchniętej miłości, z tajnych podejrzeń rodzącej się pogardy, z serdecznego zawodu ciepłej ufnej wiary.

Boi się wysnuwać tkanki pół-myśli, pół-uczuć: jak niemy wyrzut, staje mu w oczach jej ostatnie spojrzenie.

Zresztą nic nie wie.

Nie dozwoli jednak rozkiełzanym myślom znęcać się nad nią. Nie ma prawa potępiać.

Chciałby wstrzymać bieg myśli, chciałby usunąć z piersi ten ból piekący.

Wstrzymać bieg myśli... jak?

No, wiadomo: klin-klinem, uczucie-uczuciem, ból-bólem.

Wyborna rzecz, środek raczej.

Pamięta, małym był chłopcem bolała go często głowa głuchym tępym bólem; brał wtedy szpilkę, kłuł nią czoło i pomagało.

Klin klinem, ból bólem, myśl myślą. Wyborny środek! Ot zaraz po głowie zaczną biegać inne myśli, choćby pojedyncze, luźne wyrazy: drzewo, konie, dom, sklep, jeżdżą... Co by jeszcze? Sklep, niebo, chodzi, patrzy... wybornie.

Byle tylko nie dopuszczać do głowy tego. Patrzy wokoło i tworzy sobie sądy o najbliższych przedmiotach ..

Ale ta robota zajmuje tylko pół duszy; druga połowa kontroluje czynności pierwszej: cieszy się z tej metody panowania nad myślami i... obawia się, obawia się strasznie, że ot, ot w przerwie pomiędzy sztucznymi sądami ukaże się łeb tej głównej, strasznej, głęboko nurtującej myśli.

Samooszukiwanie się.

Nie zgłuszy on jaskółczego niepokoju serca, nie uwięzi przemocą myśli, nie usunie bólu z piersi. Mózg ma tylko męczącą zabawkę, za której głupim mechanizmem ukrywa się to, co przytłacza całą jego istotę.

Porzuca zamiar dalszej walki, poddaje się w zupełności; mechanicznie kieruje swe kroki ku domowi.

Zgrzytnął klucz — jest już u siebie.

Rzuca się na łóżko.

Co za okropne znużenie!

Coś go przygniata i ciągnie do ziemi.

Łóżko go nie utrzyma, on je złamie.

Wstaje, bierze poduszkę, rzuca się na ziemię. O tak, to pewniej, jest mu teraz prawie dobrze, tylko po całem ciele czuje drobne ukłucia, takie lekkie.

Ciężko. Ból, łupanie w skroniach, szum w uszach, a w piersi straszliwa pustka.

Oczy zwierają się jednak, w głowie duży, złożony mechanizm traci potroszę ruch i zamiera, a on sam wpada w głęboką przepaść... nie boi się wcale, bo nie spada raptownie, lecz spuszcza się powoli na miękkich pasach w głęboką ciemnię.

* * *

Leży czas jakiś bez pamięci.

Sen to, czy nie sen — nie wiadomo. Potem zaczyna się coś po głowie plątać, migotać jaskrawo, błyskotliwie. Znika, to znów się ukazuje bezsensowne, bezkształtne, bez początku, bez końca.

Chciałby w tem ład zaprowadzić: początek powiązać z końcem, wstawić środek.

Ale gdzie tam! Wyślizguje mu się uparcie kłębek splątanych myśli.

Nic z tego!

Przedewszystkiem odpocząć trzeba, nie myśleć i spać, głęboko, spokojnie spać, choćby tak, jak przed chwilą.

Cisza. Śpi niby, a przez sen pamięta, że z prawej strony stoi stół, z lewej szafa. Mniejsza już o sen, gorzej, że tu w głowie coś prędko, ale to błyskawicznie prędko lata. Skargi, zarzuty, domysły, żale, rozczulenia — chaos.

Trudno wytrzymać dłużej! Wstaje, bierze ręcznik, macza w wodzie i kładzie na karku. Takie kompresy pomagają nawet waryatom, powinny i jego uspokoić!

monachijska *Allg. Ztng* i *Zukunft* Hardena), albo w najbliższym (jak *Hamburger Nachrichten*) związku z b. kanclerzem. Obecnie posiadamy już na to dowody stałe. Były współpracownik ostatniego z wymienionych pism wydał tę tajemnicę i opowiedział ze ścisłością matematyczną wszystkie epizody bezmyślnych napaści kanclerza. Okazuje się, że prawie wszystkie artykuły polityczne i w wielkiej części te, które dotyczą spraw wewnętrznych państwa niemieckiego, są nietylko inspirowane przez Bismarka, ale często wprost przez niego dyktowane, niekiedy nawet pisane. Istnieje stała codzienna korespondencya pomiędzy Hamburgiem i Friedrichsruh, a bywają czasy, kiedy redaktor codziennym staje się gościem u pana na Schonhausen i Warzinie. Niedawno znowu silniej zawrzało w otoczeniu książęcem, a echo tego niezadowolenia odbiło się wyraźnie w *Hamburg. Nachrichten.* Sprawcą tej burzy był cień hr. Arnima, nieszczęśliwego posła niemieckiego w Paryżu — i jednocześnie ofiary Bismarka. Hans Blum (nie Robert, o nie!) okaz niezgorszy z bogatej zoologisznej rodziny Buschów, w świeżo wydanej i ogromnej książce „Państwo niemieckie w dobie Bismarka“ powtórzył raz jeszcze tragiczną historyę o wilku i jagnięciu, ale nie powtórzył jej bezkarnie. Bo oto w odpowiedzi na kłamstwa syn zmarłego wysłał do księcia list, w którym żąda cofnięcia tej „legendy.“ W przeciwnym razie będzie uważał go za pozbawionego zupełnie czci i honoru. Odpowiedzi nie otrzymał — i ogłosił list swój w gazetach niemieckich. Zewsząd płynęły chmury, z południa i ze środkowych Niemiec i z dalekiego Hamburga. Mówiono, że któryś z synów Bismarka ma żądać satysfakcyi w obronie ojca — a pisma stołeczne z całą dokładnością opowiadały ich gorące spory o to, który z nich się bić *nie* będzie — ale oto dzisiaj przyboczny organ księcia obwieszcza światu, że ten jest z dzieł takich, jak Bluma albo Buscha, szczerze niezadowolony, że współautorstwa wyrzeka się zupełnie itp. O ile więc słowa te starają się odświeżoną w pamięci ogółu sprawę Arnima uczynić niebyłą, o tyle dla lepszego przekonania go o słuszności i uczciwości książęcej oświadczają *Hamb. Nachr.*, że Bismark zamierza ogłosić wielki materyał tego zajścia dotyczący, w którym wykaże w całej pełni niczem niesplamione, niewinne, liliowe imię swoje, imię patryoty wielkoniemieckiego. Gdybyśmy pisali pod datą o dwadzieścia lat wcześniejszą, możnaby się było oburzyć jeszcze i powtórzyć słowa śpiewu: „I ty mu wierzysz, biedna dziewczyno?“ Dziś jednak, byłoby to raczej operetkowym kalamburem, niż poważnym akordem dramatycznym. Nie uwierzy mu ziemia niemiecka, mimo wypróbowane sidła starego praktyka, mimo zasługi wielkie, mimo gniew i przekleństwa. Ale co gorsza — nie przebaczy. Bo jeżeli znana maksyma powiada: wszystko zrozumieć, znaczy wszystko wybaczyć, to w tym wypadku bezwarunkowo wyjątek musi uczynić. Nie przebaczy — i będzie miała racyę.

Zen. Por.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Zlepiono w Serbii jakiś gabinet liberalno-postępowy, który zawiesił posiedzenia skupczyny do listopada i rządzić będzie krajem do tego czasu. Być może, iż ma on wraz z Milanem nadzieję tak przygotować grunt do nowych wyborów, że wyjdzie z nich większość jakaś, w każdym razie nieradykalna. Naturalnie, proces przeciw dawnym ministrom ma być zaniechany. Mówią nawet o wyjeździe króla dla odpoczynku za granicę i zamianowaniu regentem Milana, ale to nie wydaje nam się prawdopodobnem. Zresztą, w Serbii wiele niemożliwości jest możliwych.

Cesarz Wilhelm bardzo lubi sprawiać niespodzianki. Według stanowczych zpewnień, pogodził się z Bismarkiem, który przybędzie do Berlina i zamieszka w pałacu monarszym. Pojednanie zaczęło się od tego, że cesarz wysłał do Friedrichsruh swego adjutanta z butelką starego wina i z listem do księcia, winszującym mu wyzdrowienia. Na to Bismark odpowiedział, że mu za to podziękuje osobiście w Berlinie. Jaki był cel tego kroku — trudno pojąć. Wątpić należy, ażeby Wilhelmem istotnie powodowała czułość i troskliwość o zdrowie zajadłego przeciwnika; wątpliwem jest również, ażeby on chciał przywrócić do władzy schorowanego starca, który już nie mógłby jej sprawować. Jeżeli mamy koniecznie doszukiwać się w tym wypadku jakiejś pobudki politycznej, pozostaje nam tylko jedno przypuszczenie: cesarz i jego obecny kanclerz nie mogli dać sobie rady z parlamentem w przeprowadzeniu nowych podatków i traktatów handlowych, a ponieważ napotkali oni opór nawet w swojej najwierniejszej drużynie, w konserwatystach, więc może chcą na nich i wogóle na czcicieli Bismarka oddziałać pogodzeniem go z koroną. Wiadomo, jak „żelazny książę“ wywierał magiczny wpływ na sejm, jak wyrocznią siłę miały i dotąd mają jego słowa, że zaś on te swoje słowa zmienia według potrzeby, osobistego interesu i upodobania, a teraz będzie pogłaskany w ambicyi, może posłusznej trzodzie każe przeskoczyć przez kij, którego jeden koniec trzyma Miquel a drugi — Caprivi.

Jak ciężko rządowi niemieckiemu pokonać opozycyę, przekonało wystąpienie ministra wirtemberskiego, Mittnachta, podczas obrad nad podatkiem od wina, który przypomniał, że w r. 1870 Wirtembergia otrzymała zapewnienie, iż takim podatkiem na rzecz cesarstwa obciążoną nie będzie. Od czasu istnienia tego cesarstwa ani razu minister Rzeszy i członek rady związkowej nie wystąpił w parlamencie przeciwko rządowi pruskiemu i niemieckiemu. To też protest Mittnachta zrobił wielkie wrażenie. Pamiętamy, jak znakomicie Bismark umie naciągać skórę konstytucyi niemieckiej na wszelkie kopyta; kto wie za tem, czy on nie dowiedzie Wirtembergii, że ona nie ma żadnej racyi.

Jakikolwiek wzgląd przyczynił się do pojednania Bismarka z Wilhelmem, przygotujmy się na nieskończony szereg zachwytów, uroczystości, okrzyków, rakiet frazeologii, które zaczną pękać nad Niemcami.

Crispi zaręcza, że Sycylię uspokoił już zupełnie a z Karrary i Massy ma tylko wymieść resztę buntujących się śmieci. Tymczasem banki włoskie w dalszym ciągu ogłaszają niewypłacalność chwilową (moratorium) a bieda jak gryzła naród, tak gryzie.

Kładzie się znów. O lepiej! Teraz może myśleć porządnie. Sprobuje wszystko dokładnie zrozumieć. Zbada każde słowo, każdy szczegół. Zacznie od początku.

Wstaje, idzie do stolika. Tu w szufladzie ma całą kolekcyę jej fotografij.

Pierwsza — tu dziecko jeszcze: gładziuteńkie czoło, rysy niewyraźnie naszkicowane, miękkość dziecięca w tej twarzy. Długo przypatruje się oczom. Dziwne oczy! Wyraz ten sam, co u małego Chrystusa Holbeina — przedwcześnie dojrzały, mądry, tkliwy a smutny!

Jeszcze u kogoś widział podobny wyraz... w życiu, czy na obrazie?

A! wie już, tam w rodzinnej jego wiosce małe, chore, kołtunowate dziecko chłopskie miało w spojrzeniu smutną, przedwczesną głębię.

Druga — tu starsza, podlotek z naiwnie zalotną minką. Włosy rozpuszczone. Może mieć lat trzynaście, lub czternaście. Okres popisywania się ciętością języka, cienkością talii, grubością warkocza. Głupi wiek.

Trzecią najwięcej lubi: głowa podniesiona, poważny, skupiony wyraz twarzy, usta mają zacięcie pełno determinacyi, nos lekko ściągnięty. Ma tutaj ona coś z wyrazu żołnierza w przededniu walki.

Patrzy długo i odkłada. Znów po głowie snują się wężowate, błyskawiczne myśli.

Ciężko!

Czwarta i ostatnia. Dzisiejsza i wczorajsza: osierocona, zwątpiała, a skryta w swych smutkach. Taką ją poznał później.

Pierwsze wrażenie było inne.

Pamięta ożywione dysputy, rozpalone oblicza, rozgorączkowane ambicye, krzyżujące się zdania i wśród tego chaosu młodą młodziutką twarzyczkę dziewczęcą.

Słuchała rozpraw ze skupioną uwagą: patrzała w przestrzeń, ściągała brwi, starała się jedno z drugiem powiązać.

Jej młodzieńcza powaga i wiara wzruszyły go.

— Za dużo kładzie duszy w tę paplaninę, za poważnie traktuje sztukę strzępienia języków.

Do małej ktoś podchodzi i zaczyna rozmawiać. Czerwieni się, patrzy nieufnie, odpowiada niewyraźnie. Powoli ożywia się jednak, mówi pełniej i śmielej.

Chciałby ją poznać bliżej, podchodzi więc do niej, ona milknie odrazu z tą obawą niepewnych siebie, wstydliwych w swych uczuciach, a szalenie ambitnych ludzi. Milczy odtąd przez cały wieczór.

Stracił ją z oczu. Życiowy mechanizm pchnął go daleko i wypełnił życie pracą, walką i troską.

Po kilku latach ujrzał ją znowu: ta sama twarz, te same rysy, lecz wyraz uleciał, wyraz pełen powagi, skupienia. Imię jej wymawiano teraz głosem stłumionym, pełnym szacunku i uznania.

Dźwięczne i pochlebne określenia sypały się jak z rogu obfitości; „zupełnie wyrobiona,“ „męzka logika,“ „uczuciowość głęboka.“ Czego tam nie było! Do jednego tylko przyznać się nie chcieli — do tego wrażenia, jakie wywierała na nich jej odrębna piękność. Nie piękność nawet, tylko styl skończony i dziwny wdzięk... jasność w rysach i spojrzeniu. „Zupełnie wyrobiona...“ tak odrazu? Łatwo im, dziwnie łatwo było przykleić do niej etykietę... jak do butelki. Parę frazesów wystarcza — pośliniona etykieta przykleja się zręcznie i wprawnie.

Stanowczo nie lubił jej na większych zebraniach: miewała czasami ton dyktatorski, chęć położenia na wszystkiem swego stempla, łaskawe branie pod opiekę. Nie lubił... chociaż w gruncie to był tylko... pewien brak równowagi i... nerwowość wielka. Obok tych rysów — cudowne poczucie prawdy, czułość duszy wielkiej i tkliwej...

(D. c. n.).

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA FRANCUSKA.

Stendhal: *Souvenirs d'égotisme* (Autobiographie et lettres inédites publics par Casimir Stryienski). Paris 1893.

Pan Stryjeński, zagorzały — może nazbyt zagorzały — wielbiciel Stendhala, wydał obecnie ostatni zbiór notatek, w których słynny psycholog skreślił od niechcenia swe myśli i stany duchowe. „Wspomnienia egotyzmu“ dotyczą epoki od 1821 do 1830 r., najmniej dotychczas znanej, gdyż rysują nam pisarza-światowca i różne koła towarzyskie, w których on czerpał materyały dla swych dzieł. Po pobycie siedmioletnim we Włoszech (1814—1821) Beyle, oskarżony przez rząd austryacki o karbonaryzm, zmuszony był opuścić przybraną swą ojczyznę i powrócić do Paryża. Miał już imię w literaturze, salony — nie wszystkie wprawdzie, ale liczne — stały przed nim otworem i w ten sposób poznał większość znakomitości ówczesnych. Byli tu Destutt de Tracy, Benjamin Constant, Morimée, Lafayette, Ch. de Rémusat, Cuvier, Thiers, Fauriel, Béranger, Delécluze, br. Gérard — słowem, prawie cały sztab obozu liberalnego za czasów Restauracyi.

Stendhal nie miał powodzenia w swych znajomościach. Był człowiekiem zbyt niezależnym, ale także i zbyt mało wpływowym: towarzystwo nie mogło mu wybaczyć ani śmiałości przekonań, ani też czynów. Bardzo dobrze początkowo przyjęty u Destutta de Tracy — był to pierwszy jego występ w świecie — czuł wszakże, iż przychylność filozofa zaczęła odeń stronić. „Żyłem — powiada — dziesięć lat w tym salonie, przyjmowany grzecznie, szanowany, ale z dniem każdym mniej poufny. Jest to jeden z braków mego charakteru, który sprawia, iż nie zwalam na ludzi winy moich niepowodzeń.“ Beyle jest tu dla bliźnich swych nazbyt pobłażliwym: oto np. powody ostygnięcia de Tracego. Bywał w tymże salonie niejaki Thurot, hellenista, którego autor charakteryzuje w sposób następujący: „Uczciwy człowiek, ale nadzwyczajny filister, o nader ciasnych pojęciach, drobnostkowy w swej polityce gospodarskiej. Celem życia p. Thurot było należenie do Akademii napisów. Przez okropną sprzeczność, człowiek ten, który nie czynił najmniejszego gestu bez myśli o wpływach, które trzeba urządzić, gdyż od nich może zależeć jego mianowanie do Akademii, był ultra-liberalnym.“ Stendhal także z przekorą starał się urazić przekonania tego człowieka paradoksem bonapartysty, wyrażonym zresztą w formie najgrzeczniejszej. D. de Tracy czuł się także urażonym.

Innego razu w tymże salonie pewna dama puściła następującą plotkę: „Ah! oto p. Beyle ma nowy ubiór, widać iż M-me Pasta miała benefis.“ Nikczemność tej insynuacyi jest zrozumiała i oczywista, ale podchwycono ją z upodobaniem „P. de Tracy nie mógł mi wybaczyć mego związku jawnego — acz niewinnego — ze słynną artystką.“ Pasta była swego czasu stawiana na równi z Talmą, jako artystka dramatyczna, oprócz tego była jednocześnie pierwszorzędną śpiewaczką. „Talma, którego potomność stawiać będzie tak wysoko. miał duszę tragiczną, ale był tak głupi, iż wpadał w najśmieszniejsze afektacye... Ale tragizm w kobiecie, który dla mnie jest najbardziej wzruszający, znalazłem tylko w pani Pasta i tam on był czysty, doskonały, bez przymieszki.“ W tym sądzie Stendhala jest może pewna stronniczość. Nie wiadomo także, o ile są szczere jego zaprzeczania przypisywanego mu związku z la Giuditta. Wieczorami, o północy, wychodząc z teatru, wstępował do niej, gdzie zebrane było towarzystwo literatów i artystów. Milczący, marzycielski dumał w tym salonie — powiada — bardziej o artystce, niż o kobiecie, nie dla tego, żeby tak chciał, ale zrozumiał, iż na tem powinna się ograniczyć jego rola. Niezręcznie chciał nazbyt jej się podobać — zwykła wada ludzi nieśmiałych, do których należał — i tem popsuł sobie szyki. „Wszystko się sprowadzało do nader zużytej i oddanej przyjaźni“ z jednej i drugiej strony.

Pomimo to, a może właśnie dlatego, uchodził powszechnie za kochanka artystki — przyjaciele nie pomijali sposobności, gdzie można było go szarpnąć: robili zeń więcej, niż kochanka, coś w rodzaju utrzymańca. Zresztą prawda w tej kwestyi dotychczas nie jest znaną: nie wiadomo, czy Stendhal nie miał tu jakich śladów do zatarcia — a „Wspomnienia“ swe pisywał dla siebie, rozumie się, ale kazał wydrukować je po swej śmierci. Innych świadectw wiarogodnych nie posiadamy, ale to jest pewna, iż złośliwości współczesnych ufać nie można. Stendhal opowiada, iż w pewnych salonach nie mógł oświadczyć, iż widział z rana na ulicy żółty kabryolet, aby nie obrazić śmiertelnie obłudników i głupców. Nie szczędzono mu przytyków, insynuacyi i grubych niegrzeczności: pani Lamartine, we Florencyi, nie chciała go przyjmować. Reputacya ta zdobyła mu przezwisko Mefistofelesa, na które zresztą we „Wspomnieniach“ stara się zasłużyć. Wszystkie charakterystyki są tu zwykle sarkatyczne. Oto przykład portretu: „Wysoki wzrost, a u szczytu tego wielkiego ciała twarz bez wyrazu, zimna, nieznaczna, jak stary obraz familijny, głowa pokryta peruką, o włosach krótkich, nieuczesana. Ten człowiek, odziany w jakąś szarą suknię, przypadający trochę na nogę, wchodził o kiju do salonu pani de Tracy: był to generał Lafayette... Ma on w czułym wieku sześćdziesięciu lat tę samą wadę, co i ja; roznamiętnia się ku młodej ośmnastoletniej portugalce, wyobraża sobie, iż ona go wyszczególnia, myśli tylko o niej i, co najpocieszniejsze, miewa pod tym względem słuszność. Jego sława europejska, wytworność głęboka jego rozmów, pomimo zewnętrznej ich prostoty, jego szare oczy, które się ożywiają, jak tylko jest na przestrzeni jednej stopy od młodej, ładnej piersi, wszystko pomaga mu do wesołego spędzania ostatnich lat.“

Tak pisane są wszystkie krytyki. Delécluze, słynny wówczas krytyk „ma całą drobiazgowość małomieszczanina. Jeżeli kupuje za trzydzieści sześć franków tuzin chustek u narożnego kupca, w kilka godzin później jest przekonany, iż chustki jego są rzadkością i że za żadną cenę takich w Paryżu znaleźć nie można.“ W „salonie mieszczańskim“ pani Cabanis, Stendhal czuł się zupełnie nie swój; nie szczędzi też ani gospodyni, która miała „córkę sześć stóp wysoką i pomimo to nader miłą“, ani jej gościom swych sarkazmów. Thiers jest według niego zuchwałym paplarzem, Mignet — bezmyślnym. Jedynie łaskawszy jest dla Fauriela, zresztą dlatego tylko, iż ten nie był znany. Rzekłbyś, iż autor chce sobie ulżyć żółci nie tylko poniżaniem słynnych, ale wynoszeniem drobnych. „To jest — powiada — obok Merimego i mnie jedyny przykład nie szarlatanizmu, pośród ludzi, którzy się mieszają do literatury. Dlatego też p. Fauriel nie ma żadnej reputacyi.“

Ta złość i złośliwość autora są odwetem za ten brak uznania, który towarzyszył całemu jego życiu. Żarty Stendhala z tego powodu są pełne goryczy, za to sądy o ludziach tchną zawiścią. Ale też istotnie jego miłość własna była raniona na każdym kroku.

„Jeden z podziwów hrabiego Daru — powiada — polegał na tem, że ja potrafię napisać stronicę, którąby mogła komukolwiek się spodobać. Pewnego razu kupił u Delaunaya, który mi to opowiedział, jedno moje dziełko, sprzedawane z powodu wyczerpania edycyi za czterdzieści franków. Osłupienie hrabiego było niewymowne.

— Jakto! czerdzieści franków!

— Tak, panie hrabio, i zrobisz pan łaskę kupcowi, nie biorąc za tę cenę.

— Czy możebna! — mówił akademik, wznosząc oczy do nieba — ten dzieciak, umiejący tyle co karp!

I wierzył w to — kończy Stendhal; — ludzie u antypodów, spoglądając na miesiąc, gdy on jest dla nas tylko drobną obrączką, powiadają sobie: co za wspaniały blask, księżyc jest prawie pełny! Pan hrabia Daru, członek Akademii francuskiej, Akademii nauk etc. etc. i ja spoglądamy na serce ludzkie, na naturę itp. ze stron przeciwnych.“

Pewien znany muzyk nie mógł powstrzymać swego zadziwienia, dowiedziawszy się, iż Stendhal napisał książkę o Haydnie, on „który nie potrafił wziąć akordu na fortepianie“! Aby przezwyciężyć u swych znajomych te nieznośne podziwy, Beyle zaczął się starać o wyrobienie w sobie złośliwości i dowcipu, które są często maską osób nieśmiałą.

„Jestem—powiada—jak uczciwa kobieta, któraby chciała zrobić z siebie nierządnicę; na każdym kroku muszę gwalcić w sobie tę wstydliwość uczciwego człowieka, któremu okropnie jest mówić o sobie.“ I to jest zupełną prawdą, jakkolwiek — a może i właśnie dlatego — we wszystkich swych książkach mówił tylko o sobie.

Dowcip Stendhala jest zawsze robiony i obmyślany, ale pomimo to jest to nóż złowrogi, gdyż kieruje nim wciąż zraniona miłość własna. Obecny tom „Wspomnień“ tryska właśnie nieustannym strumieniem powstrzymanej ironii. W tem ma sławę ostatecznie ustaloną przez wszystkich, iż był to „un homme d'esprit.“ I tom niniejszy jest prawdziwą kopalnią słówek i frazesów o minie paradoksalnej, poglądów subtelnych i głębokich. Te ostatnie bywają często melancholijne i marzycielskie. Jest jakiś zapach wstydliwy w wyznaniu tego cynika, gdy powiada: „Miłość obdarzyła mnie cnotą nader śmieszną: czystości (la chasteté).“ A jak subtelną jest myśl: „piękno jest obietnicą szczęścia.“ Jego dowcip jest nader suggestywny — on nigdy nie wypowiada jasno swej myśli, napomyka tylko i każe się domyślać. Ta dyskrecya nie formy, ale właśnie treści stanowi rys charakterystyczny dowcipu Stendhalowskiego. Był to dowcip sztuczny obmyślany, jak wszystko zresztą u Beyla.

Względem Mérimégo okazuje on pobłażliwość i ostrożność, jego zawiść nie wie, czy ma się obawiać, czy też być spokojną. „Biedny młody człowiek w szarym paltocie i tak brzydki ze swym nosem zadartym. Ma on w sobie coś nader zuchwałego i odrażającego: z drobnemi oczkami bez wyrazu i miną niezmienną, a mianowicie—złą. Takie było pierwsze wrażenie, które sprawiał na mnie najlepszy z mych przyjaciół. Nie jestem nazbyt pewny co do jego serca, ale jestem pewny co do jego talentów.“ Z takiem usposobieniem Stendhal powodzenia u ludzi mieć nie mógł i rzeczywiście nie miał. Uważano go za człowieka niebezpiecznego, nie tylko w polityce, ale i w moralności. W istocie, nie miał ani w jednej, ani w drugiej dziedzinie przekonań stałych, chociażby przewrotnych, ale tylko dużo impertynencyi i chęci zadzierania i ducha niezależności. Nie znosił jarzma żadnej koteryi, ani prze-

sądu i ze stosunków swych nie skorzystał, może nie dlatego, że nie chciał. Rozmyślając w 1835 r. o tej kwestyi, pisał: „Nie żałuję straconej sposobności. Zamiast dziesięciu, miałbym dwadzieścia tysięcy, zamiast kawalera miałbym tytuł oficera legii honorowej, ale musiałbym myśleć po trzy lub cztery godziny dziennie o tych nizinach ambicyi, które się upiększa nazwą polityki; popełniłbym wiele nikczemności...“ Pod tym wyznaniem słyszymy niezdecydowany żal, ten sam, który wieje z jego nagrobka: „Errico Beyle, *Milanese*, Visse, Scrisse, amo.“ Medyolańczykiem nazwał się na złość rodakom, u których nie znalazł uznania. Jest to mściwość kobiety, którą odtrącono.

L. W.

LITERATURA POLSKA.

Gamaston. *Lamparcie życie.*

Autor jest gawędziarzem zręcznym, bawicielem dowcipnym, formę posiada żywą i dosadną. Nie ma żadnych apostolskich zapędów, nie pragnie rozwidniać mroków życiowych, być poetą dążeń świetlanych lub bólów trawiących. Lubuje się przytem w wesołej i nieco swawolnej trywialności. Jego „Lamparcie życie“ — to gadka potoczna o wydarzeniach codziennych.

Jesteśmy w Petersburgu, wśród gwaru i zgiełku wielkiego miasta. Rzecz dzieje się mniej więcej przed ćwierć wiekiem. Poznajemy małą kolonię polską, przeważnie studencką. Na widowni przesuwa się kilka tylko osób przypadkowo związanych z losami głównego bohatera. Głównym ośrodkiem powieści jest właściwie kółko studentów. Autor znalazł się w położeniu wyjątkowo korzystnem, mało kto bowiem może skontrolować wiarogodność barw i konturów, mało kto zna miejscowe stosunki. Cóż widzimy? Odrazu poznajemy całą „paczkę.“ Cała ta gromadka jest bardzo ochocza i figlarna, rwąca się do uciech pospolitych, do łobuzeryi. Wszelkie wesołe przybytki stolicy nadnewskiej są im doskonale wiadome, umieją korzystać z życia, po szlakach jego włóczą się z pustym śmiechem lub pijanym hałasem. Nie sprzęga ich złoty łańcuch dążeń wspólnych, umiłowania naiwnego i porywczego wielkich prawd, lecz spaja ich węzeł uciech zmysłowych, rozkoszowania się w strudze radości płytkich. Nie możemy powiedzieć, iżby wszyscy ci „mali bohaterowie“ rozpływali się w jakimś jednobarwnym obrazie. Każdy bowiem wyróżnia się pewnemi szczególnemi cechami. Rozmach temperamentu nie jest jednaki, szerokość natury odmienna. Ale wszyscy pragną używać życia, poić się jego powabami. Niektórzy tylko są większymi sybarytami.

Naczelną postacią wśród tego grona „wolnych duchów,“ raczej „junaków życia,“ był Robert Skałkowski, student technologii, młodzieniec bardzo urodziwy, umysł bystry i rzutki, charakter, no... charakter bynajmniej niekatonowski. Posiadał wszystkie talenty towarzyskie, ślicznie śpiewał, grał na fortepianie, zachwycająco tańczył, uprawiał wszelkie gatunki sportu, a przytem dobrze się uczył, rokował duże nadzieje, był bardzo dobrym kolegą ratował w potrzebie towarzyszów. Wielki urok wywierał na kobiety. Hasłem jego było spędzać życie „z ustami przy ustach,“ lecz nie z „duszą przy duszy.“ Pożądał namiętnie i dążył wytrwale z rozpędem artystycznym do upojeń. Duszy jednak nie wkładał w te sprawy. Uciechy miłosne były dlań wyłącznie czarą upojeń zmysłowych. Nie mógł powiedzieć ukochanej kobiecie wraz z poetą: „granicami mego świata twoich ramion dwoje.“ Żądza uciech była jego nieodstępną towarzyszką, biegała wraz z nim po ulicach, wesołych przytułkach, salonach, robiła wycieczki do krainy fantazyi, łechtała ustawicznie jego wyobraźnię. Sully Prudhome powiedział: „jestem niewolnikiem tysiąca istot, które kocham.“ On nikogo nie kochał tkliwą miłością męzką i bynajmniej nie był niewolnikiem osób kochanych i tylko wyzyskiwał je, fruwał od jednej przyjemności do drugiej. Takie jednak życie i usposobienie nie spowodowało rozkładu jego moralnej istoty, lubo znacznie ją zbrukało. Orszak „zdobyczy sercowych“ Roberta wije się wstęgą długą i różnobarwną. Rozmaite kręgi towarzyskie spłacały mu haracz. W szeregu tym obok szwaczki Doni widzimy „Palińkę,“ żonę wysokiego urzędnika, podstarzałą już nieco kobietkę, Mary Epiphanidi, niezwykle namiętną i urodziwą greczynkę.

„Półświatek“ także był dlań niezmiernie życzliwie usposobiony. Słowem autor nie szczędzi barw na odmalowanie potęgi Roberta, wyposażył go wszelkiemi zaletami, niezbędnemi dla Don Juana. Nie ma on całkiem atoli nic demonicznego, jest to Don Juan swojski, usidlający samiczki gatunku dosyć pospolitego. Niektóre okazy „przedmiotów w spódniczkach“ dobrze zarysowały się w powieści. Pyszną jest „Polińka.“ Pojechała na maskaradę, chcąc zbałamucić Roberta; zaczęła go kokietować. Ten jednak prędko zoryentował się i odgadł, z kim ma do czynienia. Zaproponował kolacyę w ustronnym gabinecie jakiejś restauracyi. Palińka chętnie przystała na tę propozycyę. Kolacya była bardzo ożywiona, wino działało. Polińka za żadną cenę nie chciała zdjąć maski, lecz wierność małżeńska niepostrzeżenie pękła, jak szkło. Po upływie kilku dni wzywa Roberta do siebie i prosi go, iżby o spotkaniu z nią nigdy nikomu nie wspominał, żeby sam zapomniał o tem. Potem jednak miała doń żal, iż do przyrzeczenia swego nazbyt się literalnie stosował. Wogóle kolonia polska, zamieszkująca stolicę nadnewską, nie bardzo się powabnie przedstawia. Po ukończeniu studyów Robert na parę miesięcy wyjechał do Wiednia, dla odbycia praktyki. Powracając do Petersburga, wstąpił do przyjaciela, Franka Broniewskiego, mieszkającego na wsi. Brat i bratowa tego ostatniego były to dusze proste, grzebiące się z rozkoszą w zabiegach gospodarczych. W charakterze guwernantki przebywała u nich panna Kazimiera Samińska, daleka krewna, sierota. Panienka była blada i wątłego dość zdrowia, ale bardzo sympatyczna. Jasna blondynka, z ciemnemi brwiami i rzęsami, nosiła dwa długie warkocze, puszczone na stanik ciemno-szarej sukienki, co jeszcze więcej odmładzało dziecinną jej postać. Od pierwszego wejrzenia nie przypadła ona do gustu Robertowi, spoglądał na nią jako na panienkę prowincyonalną, pretensyonalną i sentymentalną. Zaczął więc traktować ją lekceważąco, w sposób uszczypliwy. Ona z początku zachowywała się całkiem biernie, nie odpowiadając na docinki, chociaż była głęboko zraniona. To jeszcze bardziej rozzuchwaliło Roberta. Wreszcie wyprowadzona z cierpliwości, parę razy odpowiedziała w sposób bardzo trafny, nacechowany godnością. To go zastanowiło. Dostrzegł, iż owa szara dzierlatka, ucierająca noski aniołkom, potrafi głębiej czuć i bardzo taktownie się znaleść. Bardzo ładnie grała, co także usposobiło go życzliwie. „Ale wieszty co— zwierzał się przed przyjacielem — że ta dzierlatka Kazia, to wcale niezły materyał: dziś ją dopiero należycie obejrzałem! Ubrać to, powiadam ci, po ludzku, uczesać, jak należy, i podpaść trochę, a byłaby potercyment dziewczyna! Oczki ma wcale niczego, nosek i usta *szampipińskie*...“ Pewnego razu, po powrocie z wizyty, będąc nieco podpitym, zaczął uniewinniać się przed Kazią ze swego postępowania. Wreszcie otrzymał przebaczenie. Lecz w tejże samej chwili spostrzegł apetyczną jej szyjkę, i nie zdając sobie sprawy, co czyni, pocałował. Bolesne słowa wyrzutu dziewczęcia oprzytomniły go odrazu; para z węgrzyna, szumiąca w mózgu, ulotniła się zupełnie. Na drugi dzień oświadczył się jej i uroczyście poprosił o rękę. Biedna dziewczyna sądziła, że szydzi z niej; nie prędko więc mu udało się pozyskać jej przyzwolenie. Niebawem zapłonęła pomiędzy nimi miłość „czysta,“ „szlachetna.“ Autor zaprowadził bohatera swego do cichej przystani obowiązków i tkliwej miłości. Wszystko więc jest w porządku. A, prawda, musiał opromienić życie Roberta męczeńską przygodą. Konie go stratowały, najznakomitsi lekarze stracili nadzieję, życie jego prawie dogasało. Wówczas przy łożu boleści zetknęły się dwie kobiety: Kazia, narzeczona i greczynka, zawsze namiętnie kochająca Roberta. Ta ostatnia zaprzysięgła mu przed półtora rokiem „wieczną miłość,“ „na życie i śmierć,“ i wymusiła odeń taką samą klątwę. Teraz ze zdumieniem dowiedziała się o jego zaręczynach; ogarnął ją prawdziwy szał. Widząc atoli straszne nieszczęście, w jakiem znajdował się ukochany, ustąpiła. Robert prawie cudownie wyzdrowiał. Ocalał więc jeden z przyszłych „porządnych ludzi,“ podpora rodziny.

Typ młodzieży uniwersyteckiej, jaki nakreślił autor, nie może bynajmniej wyczerpać całego pomienionego odłamu. Gamaston pojmuje studenta jako bursza, hulakę, „wesołego, dobrego chłopca,“ zajętego tylko uprzyjemnianiem życia i szkołą. Sympatyzuje on z pstrą gromadą przyszłych „zjadaczy chleba,“ czcicieli złotego środka, rycerzy rozsądku i praktyczności. „Lampartować“ się można za młodu, ale potem trzeba być wiernymi kapłanami ogniska rodzinnego, mężami pracy obywatelskiej. W „Lamparciem życiu“ przesuwa się cała wiązanka przyszłych dyrektorów, inżenierów, orędowników przemysłu. Nie żywią oni żadnego rozgoryczenia ani względem siebie, ani względem świata. Są płaskimi optymistami. Pojęcie życia utożsamia się dla nich z pojęciem zaspokajania osobistych potrzeb. Współczulne nici są krótkie i wątłe. Ta „rasa pośrednia“ rozwielmożnia się jednak przemożnie na widowni społecznej.

Stefan Olenycz.

Z ESTRADY.

Miłą nader niespodziankę sprawiły publiczności warszawskiej w ciągu ubiegłych tygodni koncerty Towarzystwa Muzycznego wprowadzeniem na estradę sal Redutowych nowej, nieznanej dotąd nikomu, nie obdarzonej mianem gwiazdy, słońca itd, a jednak potężnej i wybitnej indywidualności artystycznej w osobie młodego skrzypka, p. Kreislera. Tym razem po wystąpieniu wirtuoza wszystkie pisma rozbrzmiały jednogłośnym hymnem pochwalnym.

Są zatem talenty, niewywołujące opozycyi, niedzielące opinii na dwa obozy: jaka ich cecha?

Szczerość i głębia uczucia, która porywa najopornicjsze jednostki.

Głębokim, szczerym, pełnym uczucia tonem zdobył nas sobie Barcewicz.

Młody, nieznany, zagraniczny artysta podziałał na obcą sobie zupełnie publiczność bez pomocy kuryerkowej suggestyi, wytwornością gry swojej, „prądem nerwowym,“ jak słusznie twierdzi jeden ze sprawozdawców, przechodzącym z pod palców jego na drobny instrument, który pod smyczkiem artysty oddaje najsubtelniejsze odcienie melodyi.

Porównać młodego mistrza nie można z żadnym wybitniejszym skrzypkiem współczesnym; nie dorównywa Barcewiczowi w sile tonu, Sarassatemu w potędze temperamentu, a jednak imię jego świecić będzie wobec dwóch nazwisk powyższych blaskiem odrębnym, niesłabszym i nie mniej ponętnym od tamtych.

Dziwnym czarem pociąga on tłumy ku sobie: chciałoby się słuchać go zawsze. Technika swobodna, świetna i śmiała nie olśniewa i nie imponuje odrazu; misterna w każdym zwrocie, każe podziwiać się raczej, jak te drobne rzeźby chińskie, pełne pracowitych, delikatną i lekką ręką wykończonych szczegółów, w rozpatrywaniu których gubi się oko.

Możnaby nazwać Kreislera Grünfeldem skrzypiec, gdyby to nie było ze szkodą młodego wirtuoza. Grünfeld czaruje, lecz odmiennie: wdzięk i poezya tonów jego nie mają tej przepaścistej głębi uczuć, jakiemi dwudziestoletni skrzypek przykuwa do siebie. Grünfeld delikatną swą pieszczotą fortepianową wywołuje uśmiech słodkiego, błogiego rozmarzenia, Kreisler pozostawia trwałe i niezatarte wspomnienie. Dźwięki jego skrzypiec mają w sobie coś z owych legendowych melodyi, któremi złe lub dobre duchy wabią ku sobie nieufnych. Tak musiał grać Orfeusz, ściągający piękną Eurydykę na dno piekielnych czeluści.

W zachwytach sprawozdawców nad talentem młodego wirtuoza nie wzięto jednej nuty zbyt wysoko: szereg wygłoszonych na cześć jego hymnów pochwalnych należy mu się jaknajsłuszniej; zdobył je sobie sam, własną, niepospolitą indywidualnością swoją.

Zbyt dobrotliwie natomiast obeszli się sprawozdawcy nasi z reklamowanym po wielokroć przy akompaniamencie sutych wykrzykników podziwu kwartetem szwajcarskim Caleriusa...

Grupa ludzi, złożonych z ojca Caleriusa, dziesięcioletniej, uroczej jego córeczki, zdaje się Tekluni, wysoce pretensyonalnego Maksa oraz z niemca, p. Jędrzykowicza, zabawiając kwartetami ogródkową lub kawiarnianą zapewne publiczność Lozanny, zjechała do nos poprzedzona wyrazami uznania głębokich znawców (!)

Co się okazało?

To, że młody Maks rzępoli niemożliwie, biedna Teklunia, jakkolwiek najbardziej utalentowana z całego grona, wywołuje wrażenie współczucia mocowaniem się z ciężkim i dużym instrumentem (wiolonczelą); papo Calerius, według niektórych sprawozdawców umyślnie chowający artyzm swój pod korzec dla uwydatnienia tonu i techniki dzieci swoich, gra jak czwartorzędny skrzypek piątorzędnej orkiestry. Jeżeli talent zataiła w nim rzeczywiście miłość rodzicielska, to należałoby podziwiać i uwielbiać bohaterstwo jego gdyby... gdyby nie cierpieli na tem słuchacze, którym kazano tonąć w zachwycie nad wspaniałością niezrównanego kwartetu, nie zaś roztapiać się w uniesieniu nad przejawami uczuć ojcowskich. P. Jędrzykowicz — o tym nie mówmy lepiej. Cała ta czwórka robiła, co mogła, aby budzić ziewanie na ustach najbardziej nawet wyspanych słuchaczy.

Selika.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

Tygodnik ilustrowany drukuje powieść Klemensa Junoszy p. t. „Bicz piasku."

— P. Filip Frejlich, starszy felczer szpitalny, wydał „Pamiętnik felczerski," który między innemi zawiera wskazówki co do ratowania w razie śmierci pozornej, niesienia pierwszej pomocy w wypadkach nieszczęśliwych itd.

— *Kuryer warsz.* donosi, iż niejaki p. P. śród starych szpargałów w Płockiem znalazł rękopis, zawierający poezye Kajetana Węgierskiego. „Charakter pisma jest obcy, podpisy jednak, oraz daty, jak niemniej poprawki, ręką poety kreślone, świadczą, iż treść była pisana za dyktandem, co potwierdzają znawcy, którym p. P. papiery pokazywał." Pomiędzy utworami podobno znajdują się dotąd nigdzie nie drukowane. Znalazca ma je ogłosić własnym nakładem.

— Panna Małgorzata Bagińska, skrzypaczka, koncertowała z powodzeniem w Berlinie.

— Firma antykwarska B. Bolcewicza w Warszawie. wydała 3 ci numer katalogu monet i medali.

— *Bluszcz* drukuje studyum p. F. Hösika p. t. „Juliusz Słowacki w Egipcie."

— P. Zygmunt Laskowski, profesor uniwersytetu w Genewie, rozsyła „Atlas anatomiczny," wykonany zbiorowemi siłami bardzo starannie pod względem naukowym i artystycznym. Sam nakład kosztuje 50,000 franków.

— Ludwik Puibaraud, doktór praw, b. naczelnik gabinetu prefekta policyi, inspektor generalny zakładów karnych we francuskiem ministeryum spraw wewnętrznych, wydał w Paryżu studyum p. t. „Les Malfaiteurs du profession" (Przestępcy zawodowi), rzecz oparta na długoletnich doświadczeniach.

— W Paryżu powstało stowarzyszenie muzyczne pod nazwą: „Association des concerts de l'ecole moderne." Ma ono na celu wykonywanie nieznanych w Paryżu utworów francuskich i obcych.

— Miesięcznik *Die Gesellschaft* w zeszycie styczniowym pomieścił sprawozdanie o naszej twórczości dramatycznej z ostatnich czasów. Jest tam między innemi ocena dramatów Glińskiego i — *Jakóba Warki* Zglińskiego.

— Zamknięto wystawę szkiców oraz przedmiotów dzieł sztuki stosowanej w Salonie artystycznym. Zwiedziło wystawę ogółem 8,600 osób, nabyto okazów za rs. 4,800. Pozostałe będą sprzedane przez licytacyę.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

NASZ NIETZSCHEANIZM.

. . . plappern immer,
Wie Mühlenräder stets bewegt!
Heine.

Lat dwa niespełna, a jakaż olbrzymia różnica! Kiedy zaprzeszłorocznej wiosny opuszczałem Warszawę, byłem pod wrażeniem, że nawet wróble na dachu chyba urządzają rauty, świegocą o różnych palących kwestyach i czubią się nietylko o samiczki i obowiązki gospodyń — płeć każda ma stosowną sferę czynu — ale też o doktryny ekonomiczne. A cóż dopiero mówić o rautach, wyprawianych przez dwunożnego ssaka, który wyróżnia się od skrzydlatego obywatelstwa chociażby tem, że posiada mowę członkowaną! Stały się one przybytkiem cnót społecznych i rozpraw o społeczeństwie. Młodzieniec, naturalnie przyodziany według wzorów przyzwoitości, uważał za swoją powinność skierowywać uwagę tancerek ku wzniosłym ideałom i głębokim teoryom, a zatem objaśniał swojej towarzyszce, na czem polega żelazne prawo Ricarda lub wykazywał wyższość idealistycznego pojmowania dziejów nad materyalistycznem, przyczem nie omieszkał ironicznie zadrwić z czerstwości i ciasnoty materyalistów; panienki dobrego tonu zamieniły staroświeckie modlitewniki na różne gawędy ekonomiczne, ufając nieokreślonemu przeczuciu, że środek ów doprowadzi je do ołtarza.

Wróciłem i znalazłem zmianę radykalną. Naturalnie „rautująca" inteligencya pozostała tem, czem ongi była w swoim składzie; nieco osób ubyło, nieco przybyło, ale zmiany te są zbyt drobne, ażeby wyraziły się w fizyognomii umysłowej „śmietanki" naszego kraju. Lecz chociaż pozostali dawni ludzie, słychać przecież wśród nich zgoła nowe piosenki. „Żelazne prawo" poszło do kąta, panienki wyrzuciły na śmieci podręczniki ekonomii, młodzieńcy bowiem zaczęli czemś innem zamieniać nieobecność grzywy lub rogów. Inne sitko wywieszono na płocie, właściwie wywieszono ich wiele, ale nie wszystkie stały się godne szczebiotu. Jaką jest nowa zabawka fechtunku językowego, o tem zaraz na wstępie do Warszawy powiadomiła mnie jedna dawna znajoma, osóbka, posiadająca ten cenny przymiot, że pod każdym względem, a zatem zarówno w zakresie ducha, jako też w obrębie znikomej powłoki cielesnej, trzyma się zawsze ostatnich wzorów — chciałem powiedzieć mody, lecz chylę głowę pod jarzmo terminologii warszawskiej i mówię: postępu. Jej głowa nosi na sobie najświeższego fasonu kapelusiki, stanik posiada najmodniejsze zgięcia, wreszcie język wyrzuca ostatniego bicia idee i hasła. Po dziesięciu minutach już wiedziałem, co zaprząta język szczebiocących papużek i sroczek i rozsadza czaszkę tego odłamu męzkiego, który nie włóczy się po knajpach, lecz przykładnie rozprawia na rautach i godzinach przyjęcia o ideach i postępie. Usłyszałem tedy, że moja interlokutorka nie jest już ani zwolenniczką organizmu społecznego, że przestała cenić filozofię Spencera natomiast zaczęła się interesować nieco psychologią, gdyż jest to nauka, posiadającą olbrzymią przyszłość przed sobą, a zapowiadająca, że rzuci nowe światło na ciemne, transcendentalne strony naszego bytu... Wszystko to wypowiedziała moja znajoma z takim pośpiechem, że ledwie zdążyłem się połapać, zakończyła zaś wyznaniem, że tylko jeden Nietzsche zasługuje na miano wielkiego umysłu. Nietzsche! oto jest prorok, na którego brodę zaklina się nasza inteligencya... A gdybym jeszcze powątpiewał o tem, kilka dni pobytu w Warszawie rozproszyłoby wszystkie niedowierzania. Znalazłem się na jednem z owych przelewań, za pomocą języka, z pustego w próżne, zwanych przyjęciami. Płeć męzka, nie mogąc roztoczyć jak paw ogona, wyrzucała z siebie słowa, których zasadniczym tonem było hasło: nastały czasy nadczłowieczeństwa. Przedstawicielki płci żeńskiej, niby chór w dramacie greckim, dodawały: Nietzsche, wielki, arcywielki Nietzsche!.. Nawet księgarze nasi, którym niepodobna zarzucić zbytecznej ruchliwości, odczuli prąd chwili, bo w oknach wystaw widzę: *Tak mówił Zarathustra!* Z tego faktu możemy wyciągnąć niechybny wniosek, że nasza inteligencya nietylko szczebiocze o wielkim mistrzu swojej myśli, ale nadto kupuje jego książki, na pewno oprawia je w ozdobną okładkę; czy zaś czyta, jest to już rzecz mniej pewna, a może bardzo niepewna.

A zatem fala nietzscheanizmu przedarła się też do Warszawy! Ktoś gotów wziąć to za dowód, że bądź co bądź prąd ów świadczy o przebudzeniu potrzeb swojskiej indywidualności. Bynajmniej! Nigdzie, tem mniej u nas nietzscheanizm nie jest ani oznaką, że w piersi ludzkiej zadrgały głosy indywidualizmu, ani głębokości myśli. Przyznam się, że żaden z nowoczesnych „mistrzów" nie zwabił tak lichej rzeszy pod swoje sztandary, jak „boski" arcykapłan nad-człowieka. Udało mi się poznać grono gorliwych wielbicieli tego proroka w Niemczech. Już sama powierzchowność wyznawców dawała dużo do myślenia. Jakoś nie mogę się pogodzić z przypuszczeniem, aby silna indywidualność ukrywała się pod wylizaną modnie grzywką nad czołem i szła w parze z innymi tego samego kalibru szczegółami, świadczącymi o tem, że kandydat na nad-człowieka troszczy się za gorliwie o ozdoby, mało nadludzkie. Najlepsi wśród tego grona byli zapoznanemi wielkościami. Nadczłowieczeństwo balsamem swoim uleczyło ich rany moralne. A po za tymi prowodyrami ciągnęło takie mizeractwo, że Nietzsche na pewno pierwszy wymiótłby to śmiecie

z przybytku swojej idei. Takich wyznawców zwabił ku sobie apostoł nad-człowieka w Niemczech.

A u nas? Od niejakiego czasu przyglądam się bacznie różnym nietzscheanistom na bruku warszawskim. Typów, noszących w sobie wyrzeźbioną, mocną indywidualność, nie dojrzałem pomiędzy swojskimi wielbicielami nowego obrządku. Wszystko to, niby wątła trzcina, gnie się masowo to w jednę, to w drugą stronę pod podmuchem każdego „postępu,“ mniejsza czy ucieleśnionego w nowym kroju sukni, czy w nowej książce. To też ci, których nauczyłem się poważać za ich samodzielność i indywidualizm, jakoś sposępnieli w ciągu ubiegłych dwóch lat: ten pije, tamten zakopał się w książkach, ów szuka innego narkotyku, wszyscy zaś stali się odludkami, dla których najmilszą jest samotność. O indywidualizmie, nadczłowieczeństwie i pokrewnych przedmiotach rozstrzyga właśnie gawiedź, która jaknajmniej posiada w sobie pierwiastków silnie zarysowanego „ja,“ z której szablon trzodowości towarzyskiej starł wszelkie piętno oryginalności, umysł zaś jest jako zwierciadło, każdej chwili gotowe odbić cudze kształty, lecz które samo z siebie nie wydobędzie żadnej postaci. Czyha ona na każdy podmuch mody, przykuwa do niej swój ubiór, gesty i język. Ma jakieś łaknienie umysłu, lecz nie zdrowe i silne — mózg musi odrabiać swoje ćwiczenia, ale w taki sposób, jak ongi tańczono menueta. Gawiedź ta przed laty paplała o pozytywizmie i Darwinie, później te *izmy* poszły precz dla Spencera i Ribota, Renana i Zoli, potem ktoś inny i jeszcze ktoś inny zapanował, aż wreszcie nastały czasy nietzscheanizmu, przerwane ukazaniem się Eusapii i przedsmakiem tajemniczości. A ów szczebiot i paplanie rosną z wszechblagą i wszechfrymarczeniem. Nasi historycy obwiniają praojców, że pili dopóty, aż wszystko przepili. Ale jeżeli miałbym wybierać, wolałbym pijatykę dziadów, aniżeli wszechstronną flirtowość wnuków. Ze wszystkich zdechlaczych sportów najnikczemniejszym jest sport obracania językiem pod przygrywką filozofującej blagi. Kłamstwem były zachwyty nad Comtem, podobną blagą jest kult Nietzschego... Nie umysł i nie serca działały! Jedyną realną potrzebą, która ukrywała się pod owymi zachwytami i uniesieniami, była świerzbiączka języka. Nasza inteligencya, zresztą wszelka „rautująca“ inteligencya, wielkie ideje i wielkich ludzi traktuje jako przedmioty do plotki.

Można na palcach porachować miesiące panowania nowego bożka. Przecież nawet szaremu, niepokaźnemu wróblowi sprzykrzy się skakać na tej samej gałązce i powtarzać swoje „czyk-czyryk!“ w tym samym tonie. Podobnie świerzbiączka językowa posiada swoje prawa. Nie dziw, że szczebioczące „inteligentne“ towarzystwo, wyssawszy kwintesencyę z filozofii jednej wielkości i wynicowawszy — co jest zwykle bardziej interesującem! — tajemnice małżeńskiej alkowy innej znakomitości, oglądać się poczyna za kimś trzecim. Ktoś się zawsze znajdzie! Tak samo Nietzsche zostanie spłókany z języków naszej inteligencyi. Nie obawiajmy się, nie zginie jednak. Niekiedy widzę dziwne obrazy. Cała inteligencya, jak zresztą przystałoby temu szczebioczącemu stadu, posiada jedną duszę i jeden mózg. Ów mózg jest wielkim Panteonem bałwochwalczości. Jak Rzym zbierał bogów ze wszystkich stron swego olbrzymiego mocarstwa, tak samo każde nazwisko, które posiadało ów zaszczyt, że przez pewien czas wymawiane bywało na rautach, przyjęciach itd., zostaje wniesione i zapisane w jakiejś skrytce tego Panteonu. Niech burze teraz unoszą się nad spuścizną czyją z bożków, niech krytyka wykaże że pod wielkością ukrywała się pozłacana nicość, nic to wszystko nie znaczy. Imię zostało wyryte w Panteonie i przedstawiciele inteligencyi nie pozwolą go znieważać! Że nauka czyjaś jest fałszem, bałwochwalców to nie obchodzi, wszak czczą oni jedynie symbole, imiona. Tworzą się rzędy bałwanów: Schopenhauer obok Spencera, Renan w uścisku z Darwinem, Nietzsche, Hartman, Strauss — któż je zliczy. Kłaniaj się nisko, nie urągaj i przedewszystkiem nie dbaj o to, czego uczyli...

K. R. Żywicki.

Dr. ANTONI JÓZEF ROLLE.

(Wspomnienie pozgonne).

Szczególny był to umysł i szczególną zostawił po sobie spuściznę naukową. Zmarły urodził się (1830) w Henrykowie (pod Szarogrodem), ukończył gimnazyum w Winnicy i Białocerkwi, a uniwersytet w Kijowie. Poświęcał się medycynie i szybko zdobył sobie szeroką wziętość jako lekarz praktyczny. Ale opracowawszy dwa dzieła ze swej specyalności — „Choroby umysłowe“ i „Materyały do topografii lekarskiej gubernii podolskiej“ — przerzucił się do badań historycznych. Owocem ich było mnóstwo artykułów i rozpraw, pomieszczonych w czasopismach, oraz liczny zastęp tomów osobno wydanych. Niektóre z nich — zwłaszcza „Zameczki podolskie,“ „Opowiadania,“ „Szkice i opowiadania,“ „Sylwetki historyczne“ (w kilku seryach), „Niewiasty kresowe“ itd. zyskały wielką poczytność i rozsławiły imię „Dr. Antoniego J.“ (takiego używał pseudonymu). Powoli działalność pisarska zmarłego stała się tak wyłącznie literacką, że w ostatnich latach był on korespondentem kilku dzienników z Kamieńca Podolskiego.

Naturalnie dla nauki i literatury główną wartość posiadają jego monografie historyczne. Nazwaliśmy ich charakter szczególnym. Jakkolwiek większość naszych dziejopisów lubuje się w drobiazgach i unika uogólnień szerszych, dr. Antoni J. prześcignął pod tym względem wszystkich. Bohaterowie jego opowiadań są najczęściej postaciami, których nie spotykamy na widowni historycznej — niedostrzeżeni lub zapomniani wojacy, drobni urzędnicy, właściciele ziemi, żony dygnitarzów i możnowładców itd. Rzecz naturalna, że takie postacie mogły być wydobyte tylko z archiwów prywatnych, rękopiśmiennych. Otóż właśnie tę kopalnię dr. Antoni J. wyzyskiwał ciągle, ona dostarczała mu daleko więcej materyału, niż dzieła drukowane i akty urzędowe. Ażeby zaś jego nieznani bohaterowie i bohaterki mogli wzbudzić żywsze zajęcie, należało ich małe znaczenie podnieść sztuką odmalowania i oprawą artystyczną. Zmarły nie był artystą dziejopisarskim wysokiej miary, ale umiał układać doskonałe mozajki z zebranych szczegółików. Stąd też jego opowiadania nie odznaczały się ani śmiałością rysunku, ani barwnością kolorytu, były jednak ciekawe, dzięki starannie uwydatnionym rysom charakterystycznym. Zresztą dawniejsi czytelnicy *Prawdy* znają rodzaj twórczości nieboszczyka z paru sylwetek, które w niej przed dwu laty pomieścił. Na pomnażaniu galeryi typów i osobistości oryginalnych zeszła dr. Antoniemu J. cała praca historyczna. Szerszych obrazów nawet nie probował kreślić, a wszelkich uogólnień strzegł się tak dalece, że chociaż wielki bezsprzecznie znawca naszych dziejów, pozostawił nas w zupełnej prawie nieświadomości co do swych poglądów na najważniejsze ich momenty.

Na obranej niwie nie miał nikogo obok siebie, to też po nim pozostanie ona odłogiem.

D.

PAMIĘTNIK.

Humor eusapizmu.

Kto teraz nie uśmieje się do syta, ten już nie będzie śmiał z nikogo i niczego.

Czytelnicy odkryć p. Rajchmana i d-ra Herynga powtarzali ciągle pytanie: czemu jeden albo drugi nie złapał Eusapii za rękę lub nogę, a wtedy cały szwindel byłby tym jednym wypadkiem zabity? Otóż p. Ochorowicz wyjaśnił, jak naiwnem jest podobne mniemanie. Członki bowiem medium podwajają się za pomocą eteryzacyi i materyalizacyi. „To rozszczepianie się siły medium od jego członków jest aktem bolesnym. Przeciwko temu bólowi, temu antifizyologicznemu rozdarciu, organizm broni się, broni się zmniejszaniem stopnia rozszczepiania, to znaczy, że gdy ręka eteryczna, oderwana od ręki materyalnej, usiłuje dojść do pewnego punktu, ręka materyalna instynktownie, odruchowo idzie za nią. Idzie za nią raz dlatego, ażeby zmniejszyć ból, a powtóre dlatego, ponieważ ogólne prawo psychologiczne (!!!), na którem oparty jest *cumberlandyzm*, nakazuje członkom posuwać się ku tym punktom, ku którym kieruje się uwaga.“ (Dlatego astronomowie podczas obserwacyi mają chęć fruwać). Pominęmy kwestyę, skąd ów boski mąż, któremu natura jedynie wyspowiadała się ze swych tajemnic, wie o tem rozszczepianiu się sił, spowodowanym przez nie bólu, rękach eterycznych itp. Ważniejszem jest to, że owa teorya nietylko odejmuje wszelką wartość dowodową złapaniu ręki lub nogi medium na gorącym uczynku, ale nadto druzgocze cały system naszych pojęć o ścisłości dowodów w tych i tym podobnych badaniach. Bo przypuśćmy, że ktoś już nie *widział*, ale *schwycił* rękę Eusapii, przyciągającą stolik lub szturgającą kontrolerów. — Pan jesteś brutalem i nieukiem—odrzeknie medium—bo ja przyciągałam stoliki i schwytałam pana „ręką eteryczną,“ a materyalna, którą ująłeś, tylko „poszła za nią dla zmniejszenia stopnia rozszczepienia i bólu. Zresztą powinieneś pan znać „prawo psychologiczne, na którem się opiera cumberlandyzm.“ No, co wówczas począć? Trzeba uwierzyć w mediumizm i dać pokój łapaniu, bo to się na nic nie zda. Ale mniejsza o media, gorsza sprawa będzie z rzezimieszkami. Chwytasz za rękę jednego z nich, który ci wyciągnął zegarek, a on powiada: „Potwarco, naprzód do kieszeni twojej wsunęła się tylko moja ręka „eteryczna,“ a materyalna poszła za nią „dla zmniejszenia bólu rozszczepienia“; powtóre nie jestem wcale złodziejem, lecz ulegam „prawu psychologicznemu,“ co to „rozkazuje członkom posuwać się ku tym punktom, ku którym kieruje się uwaga.“ A cóż ja jestem winien, że zwróciłem uwagę na pański zegarek?“ Chyba nie ma na świecie sądu, któryby tak logicznie rozumującego rzezimieszka nie uwolnił od wszelkiej odpowiedzialności, naturalnie jeżeli mediumizm wejdzie do kodeksu. I nietylko rzezimieszek. Podobnie tłomaczyć się mogą fałszerze cudzych podpisów, zabójcy, koniokrady itd. To nie ich materyalne ręce podpisywały kogoś lub wyprowadzały konie ze stajen, lecz „eteryczne,“ które *nb.* —jak wiadomo z posiedzeń mediumicznych — są daleko mocniejsze i zręczniejsze od zwykłych.

Chociażbyście nie przyjęli tej genialnej teoryi, musicie przyznać, że jest ona najweselszą ze znanych, że jej mistrze są bardzo odważni, a jej wyznawcy... Doprawdy trudno ich nazwać. Bo gdybyśmy coś podobnego opowiedzieli figurkom chińskim, kiwającym głowami w wystawach sklepowych, może wstrzymałyby się w swym ruchu potakującym.

Po długim łańcuchu biuletynów, sprawozdań, zaprzeczeń, sprostowań, polemik, listów, eusapizm byłby nam już rzetelnie obrzydł, gdyby koniec tej farsy nie kończył się tak wesoło. Więc czytamy jeszcze z zajęciem te niezliczone artykuły, gdyż one tryskają obfitym i świeżym humorem. Pod sztandarem „wydętej spodnicy" tak zmieszali się i zjednoczyli *iści*, że niepodobna było ich wyróżnić. Teraz, chociaż w dalszym ciągu jedni powołują się na drugich, już zaczynają się różniczkować: pp. Ochorowicz i Matuszewski występują jako mediumiści, apostołowie eterycznych rąk i rozszczepionych członków, H. Siemiradzki — jako spirytysta skrajnego skrzydła, wierzący w duchy i ekierki; B. Prus nie chce się nazwać ani spirytystą, ani mediumistą, tylko bezstronnym obserwatorem, broniącym... mediumizmu. Wszystkie te jednak chorągwie i obozy zawarły między sobą przymierze zaczepno-odporne i do walki wyruszają solidarnie: mediumiści pomagają spirytystom i nawzajem spirytyści mediumistom, a p. Prus, wypierając się jednych i drugich, zawzięcie potyka się za jednych i drugich. Czego tu jeszcze więcej potrzeba dla wesołości widoku! *P.*

Podręcznik księgarski.

P. T. Paprocki zaczął wydawać zeszytami pod powyższym tytułem dzieło, będące „przewodnikiem praktycznym dla wydawców, księgarzów, pomocników i praktykantów księgarskich." Jak widać z pierwszego zeszytu, będzie to rzecz sumienna, wyczerpująca i... pożyteczna. Wobec albo braku odpowiednich szkół, albo też braku czasu na długoletnią praktykę, zwłaszcza że u nas bardzo często ludzie zwracają się do handlu wydawniczo-księgarskiego wtedy, kiedy już minęła dla nich pora specyalnego kształcenia się w tym zawodzie, podręcznik p. P. może niejednemu wyświadczyć dobrą usługę, zastąpić mu szkołę lub terminowanie. Czy ktoś zechce podjąć jakieś przedsięwzięcie samodzielnie, czy też wstąpić jako pracownik do cudzego, przyswoiwszy sobie wiadomości, zebrane w owym przewodniku, będzie mógł wprawniejszą ręką kierować własną łódź lub wiosłować w obcej. Jeżeli zdobyliśmy się na książki, uczące stolarstwa lub ślusarstwa, które to rzemiosła, zdaje się, wyłączają możliwość nabycia ich drogą teoretyczną, to daleko potrzebniejszym był niewątpliwie podręcznik dla zawodu, niewymagającego prawie żadnej umiejętności technicznej, lecz wiedzy. Całość podręcznika zawrze następujące działy: księgarnia nakładowa, księg. sortymentowa, korespondencya księgarska, rachunkowość i buchhalterya oraz słownik wyrazów, używanych w księgarstwie.

Przy sposobności dla użytku pp. autorów, piszących hieroglifami i uszczuplających biednym zecerom ich zarobki, wyjmujemy z tej książki następujące reguły, które, niestety, zbyt rzadko są przestrzegane:

„Za rękopisy nieczytelne lub oddawane w nieporządku liczyć się powinno *oddzielne wynagrodzenie.*

Korekta nie z winy zecera pochodząca, *płaci* się po 20 kop. za godzinę."

O tych obowiązkach wartoby pamiętać i albo pisać czytelnie, albo płacić za niedbalstwa i lekceważenie cudzej pracy.

Encyklopedya rolnicza.

Ze wszystkich encyklopedyj, wydanych u nas ostatnimi czasy lub wychodzących obecnie, ta posiada największe znaczenie i może największą wartość. Ilu było Plantagenetów albo czem się odznaczył Stradivarius, na takie i tym podobne pytania każdy łatwo znajdzie odpowiedź bądź w dawnej encyklopedyi polskiej, bądź w nowej obcej, a ci, których to zajmuje, nie spotykają trudności ani w dostaniu książki francuskiej lub niemieckiej, ani w rozumieniu jej. Inna sprawa z pytaniami, dotyczącemi rolnictwa. Tu rady, objaśnienia, wskazówki muszą być ściśle zastosowane do warunków miejscowych, a więc każdy artykuł musi być w znacznej mierze pracą samodzielną, opartą nietylko na ogólnych zasadach naukowych, ale i na osobnych doświadczeniach praktycznych. Co jest odpowiedniem dla Prowancyi, Bawaryi lub Holsztynu, to jest zupełnie niewłaściwem dla Płockiego lub Kaliskiego. „Encyklopedya rolnicza" tedy musi być bardziej oryginalną, niż jakakolwiek inna. Nadto, jej czytelnicy w przeważnej liczbie nie mogą z innych źródeł zaczerpnąć wiedzy, gdyż albo nie zajmują się nauką, albo nie znają obcych języków. A ciągle pamiętać trzeba, że, bądź co bądź, kraj nasz pozostaje dotąd głównie rolniczym i na tej podstawie opiera się jego dobrobyt.

Nie możemy przedstawiać lub rozbierać szczegółowo licznych artykułów, zawartych dotąd w 30 zeszytach „Encyklopedyi" (wszystkich ma być około 70); zauważymy tylko, że jakkolwiek niektóre, sztucznie z przedmiotem dzieła związane, mogłyby być z niego usunięte lub skrócone, inne za to stanowią same przez się rozprawy bardzo cenne. Dość wspomnieć np. o „Gospodarstwach włościańskich" dr. Kaczorowskiego — pracy gruntownej i wielce pouczającej. Podobnych zaś można znaleźć wiele. To też byłoby dziwnem, gdyby to wydawnictwo nie znalazło należytego poparcia.

Bilety wolnej jazdy.

Podaliśmy już krótką wzmiankę o nowych przepisach, ograniczających prawa korzystania z biletów wolnej jazdy na kolejach. Ogólna zasada stanowi, że tylko urzędnicy kolejowi, podróżujący w interesach służby, korzystają z przejazdów bezpłatnych, jadący zaś w interesach własnych otrzymują ulgę 50%. Natomiast „redakcye pism" wyraźnie i bezwzględnie pozbawione zostały zarówno biletów bezpłatnych, jak ulgowych. Jeżeli czytelnik przypomina sobie, zawsze występowaliśmy przeciwko temu przywilejowi a bynajmniej nie w obronie kasy towarzystw kolejowych, która nas nic nie obchodzi, ale w obronie niezależności dziennikarstwa. Redaktor, który dla siebie lub swoich współpracowników wyjednywa bilety wolnej jazdy, zaciąga względem kolei obowiązki, które mu nie pozwalają być wobec niej niezależnym i często zmuszają go do milczenia tam, gdzie mówić powinien. Nasza prasa dość szczodrze była obdarowywana kartami bezpłatnego przejazdu a dzięki temu, jej krytyka działań dróg żelaznych była prawie żadną. Może to teraz wreszcie się skończy i może milcząca grzeczność ustąpi miejsca bezstronnym sądom. Wymagała takiej zmiany oddawna sprawiedliwość, bo jakąż sofistyką — jeśli nie chodzi o to, ażeby ręka myła rękę — można uzasadnić przywilej dziennikarza do biletów wolnej jazdy, których nie dostaje nawet najnieszczęśliwszy nędzarz?

Areszty na pensyach.

W pojęciu znacznej liczby zwierzchników instytucyi prywatnych, zadłużony pracownik jest zbrodniarzem, niewiele może lepszym od tego, który kasę okrada. „Siedzisz pan u lichwiarza w kieszeni, co dowodzi, iż nad stan żyjesz; wobec tego trudno mieć do pana zaufanie, albowiem pomimo zapewnień, żeś uczciwy, pomimo twej skrupulatności w spełnianiu obowiązków, może przyjść chwila taka, że gdy cię wierzyciel zanadto przydusi, pod wpływem rozpaczy targniesz się na cudze dobro." Tak nieraz przemawiają zwierzchnicy do swych podwładnych, takie motywy przytaczają w rozporządzeniach, zapowiadających wydalenie „zdecydowanych" dłużników. Inni znowu, wspaniałomyślni, czynią chwilowe ułatwienia dla spłaty długów ale ze stanowczem zastrzeżeniem, że w razie gdy pracownik ponownie „zbroi," będzie natychmiast wydalony bez uwzględnienia żadnych okoliczności łagodzących. Niektóre koleje prywatne zastosują inny niż dotąd system nakładania aresztów na pensye. Wedle dotychczasowego zwyczaju, przyjmują one areszty tylko z wyroków sądowych, a więc w razie istnienia kilku wierzycieli ten przedewszystkiem ściąga należność w stosunku $^1/_4$—$^1/_3$ pensyi, który wyrok prawomocny uzyskał; inni tym czasem gnębią swoją ofiarę postronnie, nareszcie zniecierpliwieni, również występują na drogę sądową, przysparzającą nowych dość znacznych kosztów na karb dłużnika i również „wchodzą na pensye." Otóż nadal rzeczone koleje będą mogły na wzór instytucyi rządowych, bezpośrednio nakładać areszty na płace swych urzędników w razie ich dobrowolnej zgody i przyznania długu bez udziału sądu. Tym sposobem bez względu na liczbę wierzycieli, tylko $^1/_4$ pensyi żonatych i $^1/_3$ kawalerów będzie iść na rzecz długów, z podziałem proporcyonalnym do każdej należności z osobna. Będzie to niewątpliwie znaczna ulga dla zadłużonych. Byłaby ona jednak bardziej wyczuwalną, gdyby instytucye zarobkodawcze ustanowiły dopuszczanie aresztów do pewnej wysokości pensyi. *Kur. codz.* zaznaczył fakt, iż aresztami obarczani są najczęściej ci pracownicy, których płaca nie przewyższa 600 rs. rocznie. Natomiast bardzo rzadko zdarza się to pobierającym 1000 i więcej rs. pensyi. Szczegół ten wymownie świadczy, iż długi są zaciągane nie skutkiem życia nad stan, lecz braku możności utrzymania się z nędznych zarobków. Jeżeli więc tej znacznej większości pracowników, głównie przyczyniających się do rozrostu i powodzenia wszelkich przedsiębiorstw, nie można odpowiednio podwyższyć płacy, to niechże oni mają względną ulgę w formie zupełnego zniesienia aresztów. *—ir.*

Stacya sobieszyńska.

W obszernem sprawozdaniu znajdujomy najdrobniejsze szczegóły rozwoju i działalności tej instytucyi w sześcioletnim okresie istnienia (1887—1893). Praca jej nie jest dotąd wybitna, nie zaznaczyła ona głęboko swego śladu, nie zrobiła przewrotu w gospodarce rolnej. Ale przyczyny tego szukać trzeba nie w samej stacyi, lecz w typowej zachowawczości przeważającej liczby rolników, traktujących nadzwyczaj ostrożnie wszelką nowość. Do prób i doświadczeń, prowadzonych wedle zasad nauki, jeszcze się oni nie przyzwyczaili. Przy tem mogą tu działać również ujemnie warunki komunikacyjne. O ile korzystanie z doświadczeń daje się załatwić drogą listowną, ten i ów chętnie jej używa; trudniej z oględzinami osobistemi. W tym wypadku przydałoby się kilka tego rodzaju doświadczalni na całe Królestwo. Za granicą wyrobiły one sławę i wielkie uznanie, stały się pierwszorzędną potrzebą każdego rolnika. To też kultura gospodarki z każdym rokiem wzrasta coraz wyżej, hodowla bydła i trzód udoskonala się, plenność różnych gatunków ziemiopłodów jest zadziwiająca, a najmniejsza grzęda daje takie zyski, jakie u nas częstokroć parę dziesięcin dać może. Bądź co bądź, stacya sobieszyńska *) jest na dobrej drodze i chociaż ogłoszone rezultaty pracy są drobne, świadczą one o stopniowem i pożytecznem ich rozszerzaniu. Uprawiano tam ośmnaście odmian pszenicy krajowej i zagranicznej, kilkoletnie zaś próby w tym zakresie przekonały, że niektóre cenne gatunki z Zachodu dadzą się zaaklimatyzować u nas, bez znacznej utraty ich zalet. Naturalnie, czynić to można tylko po do-

*) Jest ona pod opieką kierownika d-ra A. Sempołowskiego i asystenta chemika d-ra W. Karpińskiego.

statecznem wypróbowaniu na polach doświadczalnych. Sprowadzanie bowiem wprost z zagranicy nasion bez sprawdzenia, jakie one owoce wydadzą w naszych warunkach, jest daremną stratą czasu i pieniędzy. Próby z 11-tu odmianami żyta doprowadziły do następujących wniosków: Zwiększona staranność w uprawie roli, szczególnie zaś wzmocnienie urodzajności za pomocą właściwych nawozów, podniesie wydajność żyta o wiele skuteczniej niż zasiewanie odmian zagranicznych. Garść tych wskazówek wielką dla ziemian wartość posiada. Inne próby nie przyniosły jeszcze widocznych rezultatów; doświadczenia nawozowe nie udały się, skutkiem różnorodności gleby w polach doświadczalnych. Od r. 1892 działalność stacyi znacznie polepszono i rozszerzono. Między innemi, stanowi ona ognisko prób z odmianami roślin, wykonywanych przez rolników w różnych miejscowościach kraju, ściśle według wskazówek fachowców z Sobieszyna. Urządzono tam stacyę oceny nasion, miejscowe zaś laboratorya na żądanie czynią rozbiory płodów rolnych, ziem, nawozów itd. za odpowiednią opłatą. Nadto, instytucya ta obowiązuje się udzielać wszelkich wyjaśnień w sprawach wątpliwych i dawać odpowiedzi na zapytania w zakresie gospodarki rolnej. Ziemianie we własnym inresie powinni popierać to źródło światła, wskazującego im drogę. *P.*

W DALI.

Straże ochotnicze Nieraz słyszymy narzekania mieszkańców prowincyi na niesprawność i niedołęztwo straży, na brak narzędzi ratunkowych itd. Jest w tem dużo racyi; szczególnie owe posterunki ratunkowe w osadach, wsiach i miasteczkach częstokroć żadnego prawie pożytku nie przynoszą, nie mają bowiem jednolitości, członkowie nie są wdrożeni do swego obowiązku, a narzędzia w znacznej części istnieją tylko... wymalowane na chatach. Skarżą się również mieszkańcy większych miast na swe ciała ochronne, ale tu roszczenia nie zawsze bywają uzasadnione. Zważmy, w jakich warunkach te straże powstały i istnieją. Do szeregów ochotniczych zaciągają się ludzie z różnych warstw, przyzwyczajeni do różnorodnych warunków życia. Są to pracownicy wszelkich zawodów, chodzący w deptaku całodziennych zajęć uciążliwych. Pomimo to, bez względu na znużenie i wyczerpanie pracą obowiązkową, oddają oni chętnie swe chwile wolne ćwiczeniom strażackim, a w razie pożaru ujmują sobie snu i wypoczynku, śpieszą na ratunek, częstokroć z narażeniem zdrowia lub życia. Miałem sposobność sam kilkakrotnie przyglądać się zblizka ich dzielnej pracy, wykonywanej z prawdziwym zapałem. Za to wszystko nie mają korzyści materyalnych, a więc poświęcają swe siły i czas na usługi publiczne tylko z poczucia obowiązku społecznego. Można zatem wybaczyć im wiele niedokładności, tem bardziej, że nieraz środki nie pozwalają na zakup ulepszonych niezbędnych narzędzi. Mimo dość ciężkich warunków materyalnych i dzielenia pracy na zarobkową osobistą i bezinteresowną publiczną, straże te jednak rozwijają się i doskonalą z każdym rokiem, o czem świadczą sprawozdania. Jedno z nich, Towarzystwo ochotników radomskich, za r. 1892 i 1893 wykazuje dzielność i sprawność w ratunku; szczególnie się odznaczyli najbardziej narażeni na niebezpieczeństwa topornicy. Członków czynnych jest ogółem 260. Dotychczas najdotkliwiej odczuwali oni brak stosownego pomieszczenia; wkrótce atoli będą mieli własny budynek, co im da możność między innemi urządzić i pomieścić bezpiecznie wóz rekwizytowy z arsenałem najważniejszych środków ratunkowych. Na wielkie uznanie zasługuje ulga w zakresie zdrowotnym, mianowicie postanowiono rozszerzyć prawo korzystania niezamożnym strażakom z bezpłatnej porady lekarskiej tudzież lekarstw po zniżonej cenie, według uznania starostów oddziałów. Kapitał Towarzystwa wynosi 1,434 rs.

Straż kaliska pod względem liczebnym daje nieco gorsze rezultaty: w r. 1892 miała 210 członków, obecnie posiada ich 104, ale za to majątek dość pokaźnie się przedstawia: ogółem 7,852 rs. Dochodu w ciągu roku miała rs. 1,191 k. 18, wydatków na zakup przyborów i urządzenie gimnastyki rs. 1,188 k. 88.

W niedalekiej przyszłości wszystkie wogóle tego rodzaju instytucye ochotnicze będą miały znacznie ułatwioną drogę rozwoju. Przed kilku tygodniami (jesienią) utworzono ruskie Towarzystwo zjednoczonych straży ogniowych, którego wpływ właśnie zarysuje się w organizacyach pojedynczych, nada im jednolitości i siły. Obecnie owa maszynerya naczelna zaznaczyła swoją działalność w tworzeniu okręgów północnego i baltyckiego, wkrótce zaś (według doniesień prasy ruskiej) powstaną dwa inne: północnozachodni z radą okręgową w Mińsku i zachodni z radą w Piotrkowie. Pierwszy działać będzie w obrębie gub. wileńskiej, witebskiej (z wyjątkiem Dźwińska), kowieńskiej, grodzieńskiej, mińskiej i mohylewskiej; drugi — w obrębie całego Królestwa Polskiego. Na wiosnę będzie otwarty nowy okrąg, obejmujący gubernie środkowe z ogniskiem zarządu w Smoleńsku. Zadaniem głównego Towarzystwa między innemi będzie wyjednanie u fabrykantów (szczególnie nagrodzonych na wystawach) zniżenia cen dla straży małomiasteczkowych i wiejskich o 5—25% wszelkich narzędzi ratunkowych. Niektóre firmy, jak zapewnia *Požarn, Wiestnik.*, chętnie już na to przystały.

Tak więc straże prowincyonalne wkrótce wstąpią w nowy okres rozwoju, który ma pójść szybszym, niż dotąd krokiem i spotęgować bezpieczeństwo publiczne przed ogniem. Pożądane byłoby wprowadzenie w zakres obowiązków tych organizacyj opiekuńczych po za ratunkiem w razie klęski, czuwanie w sposób zapobiegający pożarom, a więc: dozór nad gospodarką w domostwach, dyżury w razie zupełnego opuszczenia domów przez całe rodziny w chwilach robót gorączkowych, baczenie na wyrostków, ludzi nietrzeźwych, pociąganie do odpowiedzialności niedbałych, przestrzeganie, aby kominy często czyszczono itd. Nie wiemy, czy projektowane i nawet poniekąd w zarysie opracowane przed paru laty przepisy o budowlach dla wsi, osad i miasteczek wejdą do czynności zarządu straży zjednoczonych? Zdaje się, iż to byłoby najwłaściwszą rolą tej instytucyi; rozkładanie bowiem działań pokrewnych na różnorodne organy utrudnia tylko pracę i jej postępy. *Drogomir.*

Łódź. Miasto po Warszawie największe w Królestwie Polskiem, nie posiada środków zaspokajania głównych potrzeb warstw ukształconych. Mieszkańcy uskarżają się na brak czytelni publicznej. Istnieje jedna — biblioteka pracowników handlowych, ale ta służy tylko dla zamkniętego kółka uczestników instytucyi. Zresztą Łódź powinna mieć albo jedną powszechną wypożyczalnię książek, albo też ich kilka, podzielonych na specyalności, gdyż w tem ognisku geszeftu i życia praktycznego mniej popłaca literatura „nadobna" (tę trzeba zostawić „nadobnym"), natomiast masy wszelkiego rodzaju fachowców szukają wskazówek teoretycznych, przydatnych w praktyce, a niezdobytych w nauce szkolnej. Łódzkie zatem wypożyczalnie musiałyby obfitować w dzieła i pisma przeważnie specyalne, z małą domieszką literatury lżejszej dla przynęty, bądź strudzonych i leniwych do pracy umysłowej, bądź dla ludzi niefachowych, młodzieży szkolnej i dla kobiet, utrzymywanych przez głowy rodziny. Dla warstw robotniczych, wymagających także pokrzepienia umysłowego, miały być utworzone wykłady niedzielne. Podobno projekt ten powstał w łonie przemysłowców i gdyby się urzeczywistnił, byłby po za osłoną filantropijną wielce pożyteczny dla samych inicyatorów, gdyż w program wykładów mają wejść przedmioty z zakresu pracy słuchaczów. Przed paru laty świeżo po jednym z wypadków pęknięcia kotła, projektowano również wykłady przystępne dla palaczy. Zapał atoli pod nawałem innych spraw szybko ostygł. Może plan, ponowiony w szerszych granicach, prędzej przyjdzie do skutku. — Słówko o szkolnictwie miejscowem. Przy fabryce Scheiblera istnieje szkoła dwuklasowa (o 3 oddziałach żeńskich i 5 męzkich), uczęszcza do niej 231 dziewcząt i 314 chłopców. Przy fabryce Heinzla 2-klasowa ogólna (65 dziewcząt, 90 chłopców), przy zakładzie Heinzla i Kunitzera 1-klasowa z trzema oddziałami ogólnymi (115 dziewcząt i 129 chłopców); przy fabryce Poznańskiego 3-oddziałowa (2 żeńskie; 150 dziew. i 214 chłopców); szkoła Meyera ogólna dwuoddziałowa (36 dziew. i 43 chł.). Ogółem razem z powyższemi cała gubernia liczy 13 szkółek fabrycznych. Wszystkie są utrzymywane kosztem fabrykantów.

Radom. Sprawozdanie rady dobroczynności publicznej w gubernii wykazuje całokształt ruchu w tym zakresie. Śród drobnych zapisów, poczynionych w ciągu roku, zasługują na uwagę wybitniejsze, jak Beckermana: na założenie przytułku dla starców i kalek-żydów (600 rs. procentu co rok od kapitału 10,000 rs.), rs. 3,000 Edw. Otto na rzecz miejscowego Tow. dobroczynności. Przybył miastu w ciągu roku nowy zakład filantropijny: ochrona dla sierot. Po za tem miłosierdzie pełzało śród drobnych spraw pomocy doraźnej dla ubóstwa. — *Gazeta* miejscowa zwraca uwagę na znaczne podniesienie się cen gruntu w mieście, co świadczy o jego rozwoju. — W gubernii cukrownie zniżyły ceny buraków, których wydajność wynosi 150 korcy z morga. — Ziemianie pow. sandomierskiego uskarżają się na brak kupców zbożowych. — Według danych urzędowych z pierwszych dni b. m., cholera w Ostrowcu i Bodzechowie dość jeszcze silna. — Niedawno rozbiegła się pogłoska o wykupie kolei Dąbrowskiej w roku bieżącym i przeniesieniu jej zarządu do Warszawy. *Gazeta* miejscowa prostuje tę wiadomość i zapewnia, że przejście linii na rzecz skarbu nie nastąpi szybko. W razie zaś wykupu, pozostanie w Radomiu zarząd, złożony z wydziału ruchu, dyrekcyi i — warsztaty mechaniczne.

Płock. Z d. 14 b. m. przybyła miastu szkoła prywatna męzka z kursem sześcioletnim. Właścicielem zakładu jest p. Wąsowicz. — Oddawna oczekiwane wodociągi nareszcie przyjdą do skutku podobno w r. b. Projekty techniczne robót już przedstawiono do zatwierdzenia, a to wiele wobec tego, co się dotychczas zrobiło. Przedsiębiorca główny wraz ze wspólnikami obowiązuje się, w razie zatwierdzenia przed wiosną, przystąpić natychmiast do robót i ukończyć je całkowicie do listopada. — Dobroczynność rozwinęła swój płaszcz karnawałowy i wesoła, przemawia z sal tanecznych i koncertowych do nędzarzy zziębniętych i głodnych.

Suwałki. Korespondent *Gazety polskiej* uskarża się na straszne tępienie ryb w gubernii. Jako rezultat nieoględności w tej mierze, przytacza fakt następujący: Gdy niedawno ogłoszono licytacyę na dzierżawę rybołówstwa w jeziorach rządowych: Leszczów, Szelment Wielki i Helucha, nie przybył żaden ochotnik i z tego powodu musiano zniżyć szacunek dzierżawny. Zdaniem korespondenta, najradykalniejszym środkiem, przeciwdziałającym gospodarce rabunkowej, byłoby stanowcze wzbronienie sprzedaży na targu młodych rybek, głównie najwybitniejszych gatunków, jak: szczupaków, karpi, linów, leszczów itp. — Handel drzewny w gubernii ogromnie się ożywił w ostatnich czasach dzięki temu, iż urząd suwalsko-łomżyński dóbr skarbowych ogłosił sprzedaż drzewa budulcowego na 20,759 rubli. Oprócz spekulantów miejscowych, do licy-

tacyi w miasteczku Sopoćkinie zgłaszają się także handlarze z Warszawy i z gubernii grodzieńskiej. — Ogłoszono spadek po zmarłym Grzegorzu Bouffallo; jest to majątek ziemski Leonów w pow. maryampolskim. Termin prekluzyjny dla spadkobierców wyznaczono na 27 kwietnia (n. s.) r. b. — Projekt ustawy Towarzystwa lekarskiego w Suwałkach został Najwyżej zatwierdzony.

Lublin. Miejscowy prowizor farmacyi, p. Olszewski, po długich próbach we własnem laboratoryum, wynalazł masę, która podobno ma zastąpić celluloid i kość tudzież znacznie zniżyć koszt odpowiednich wyrobów galanteryjnych. — Władza edukacyjna zatwierdziła czytelnię studencką przy Instytucie rolniczo-leśnym w Nowej Aleksandryi. Może ona posiadać wszystkie dzienniki i wydawnictwa peryodyczne w ruskim i innych językach, książki specyalne krajowe i zagraniczne. Prenumerata i sprowadzanie wszelkich wydawnictw powinny być dokonywane podług wyboru komisyi bibliotecznej, uznanej przez radę Instytutu.

Moskwa. Miejscowe Towarzystwo rolnicze zwróciło uwagę na upadek hodowli owiec w państwie i uznało za rzecz naglącą wynaleźć środki zaradcze. Sposób atoli, jaki ono uważa za właściwy, wywołał zarzuty prasy; między innemi *St. Pet. Wied.* piszą: „Towarzystwo nie chciało się zająć zbadaniem tej sprawy, aby zastosować sposoby, mogące istotnie usunąć nieprzyjazne warunki dla hodowli, które doprowadziły tę gałąź gospodarstwa wiejskiego do upadku.“ Środkiem, zalecanym przez instytucyę powyższą, jest wypróbowana „protekcya“ w formie wysokich taryf na towar zagraniczny. Mianowicie postanowiono starać się o podwyższenie cła do 5 rubli w złocie od puda wełny zagranicznej. Dla zabezpieczenia zaś interesów fabrykantów, odpowiednio powinny być podniesione opłaty od wszystkich wyrobów wełnianych. — Czy potrzebna jest hodowla owiec — pytają przeciwnicy ochrony celnej — jeżeli doprowadza ona nie do stanienia produktów wełnianych, lecz do ich drożyzny? Gospodarstwo na południu dopiero zaczęło przechodzić z okresu pasterskiego do rolniczego, o czem świadczy zwiększenie obszaru ziemi uprawnej i odpowiednie ograniczenie pastwisk dla owiec, więc te ostatnie straciły swą doniosłość, której cło nie przywróci. „Szczególne staranie Towarzystwa moskiewskiego — powiada pismo powyższe — świadczy wymownie, jak u nas spaczone zostały pojęcia pod wpływem polityki protekcyjnej i ekonomicznych potrzeb kraju, na których miejsce wysunięto interesy pojedynczych a szczupłych grup ludności. Każda zaś z nich żąda, aby państwo zapewniło jej pewien dochód.“

Wilno. Według doniesienia *Birż. Wied.*, sprzedaż reszty dóbr po-wittgensteinowskich tak się przedstawia: z d. 13 kwietnia r. b. upływa ostatni termin sprzedaży z wolnej ręki. Pozostały jeszcze trzy wielkie majątki: rezydencya książęca pod Wilnem, Werki, dobra Naliboki w pow. oszmiańskim (ze wspaniałym pałacem myśliwskim i obszernymi lasami) i Lubcza w pow. nowogródzkim gub. mińskiej. Nadto pozostało jeszcze około 150,000 dziesięcin gruntów, należących do różnych drobniejszych folwarków. Jeżeli dobra te nie znajdą nabywców z wolnej ręki przed 13 kwietnia, będą sprzedane przez licytacyę. — Niedawno podległa sprzedaży przymusowej obszerna posiadłość Łuczaj w pow. dziśnieńskim. Dobra te zostały sprzedane przez hr. Mostowskiego na zasadzie listu zastawniczego hr. Bortkiewiczowi. Obecnie majątek stanowi własność hr. Kantakuzena, który zapłacił 200,000 rs. (za 6,000 dziesięcin). — W grudniu r. z. otwarto szkołę rysunkową dla rzemieślników, dla której obywatel miejscowy, p. Józef Montwiłło, bezinteresownie dał lokal w swoim domu. Rada zaś miejska, oprócz jednorazowego zasiłku, zapewniła stałą pomoc tej instytucyi. Mogą być do niej przyjmowani bezpłatnie kandydaci wszelkiej narodowości, liczący nie mniej, niż 14 lat wieku. Jak dalece zakład ten był potrzebny, dowodzi fakt, iż w dniu pierwszym po otwarciu zjawiło się naraz 50 ochotników do nauki. Przy szkole powstaje muzeum rysunków i modeli, tudzież stała wystawa obrazów. Dzięki temu nabytkowi, rzemiosło miejscowe, nieodpowiadające dzisiejszym wymaganiom, podniesie się znacznie, zyska wiele na wartości i tem samem podstawy swoje utrwali. Niewątpliwie w przyszłości zakres tej uczelni bardziej się rozszerzy na wzór Muzeum rzemieślniczego w Warszawie i zakładów podobnych za granicą. — Powstaje tu Towarzystwo homeopatów; celem jego jest rozpowszechnienie metody leczniczej Hanemana tudzież założenie lecznicy homeopatycznej, w której ubodzy chorzy mogliby otrzymywać bezpłatną poradę i lekarstwa. — Budżet miasta wykazał za rok ubiegły znaczny niedobór, wynoszący 37,000 rs. Ażeby umorzyć tę sumę, zarząd podnosi podatek od nieruchomości na dwa lata. Budżet na rok bieżący obliczono na 405,000 rs.

SPRAWY EKONOMICZNE.

KWESTYA PALIWA U NAS I NA POŁUDNIU.

II.

Na południu sprawa opału stała się żywotniejszą, niż u nas. Przesilenie bowiem w produkcyi zagłębia donieckiego legło wielkim ciężarem na barkach milionów ludności niezamożnej i gnębi ją od pierwszych chłodów jesiennych. Zobaczmy, skąd to zjawisko wypływa. Kopalnie nad Donem leżą śród pól urodzajnych i rozległych, gdzie rolnictwo, rozpostarte na szerokich przestrzeniach, jest pierwszorzędną i bogatą gałęzią gospodarki. Masy robotników, pracujących w szachtach, traktują przemysł górniczy jako zarobek dodatkowy, przytem niezmiernie uciążliwy i wyczerpujący skutkiem pierwotnych urządzeń technicznych i lichej płacy w stosunku do natężenia sił. Skoro więc nadchodzi okres robót rolnych, kopalnie się wyludniają a pola kipią życiem wielotysięcznego tłumu. W roku zeszłym wędrówka taka z ogniska produkcyi węglanej silnie się rozwinęła latem i skutkiem tego roboty w większości kopalń bądź zmniejszono, bądź całkiem przerwano, wartość zaś pracy zarobkowej wzrosła ogromnie. Wedle danych organu ministeryum skarbu, cena naładowania wagonu, w warunkach normalnych wynosząca od rs. 1 do 1 k. 30, podczas gorączki polnej podskoczyła do *trzech* rubli. Jednocześnie sam produkt znacznie podrożał, a zapasy jego wkrótce się wyczerpały prawie zupełnie. W jesieni robotnicy powrócili znowu do kopalń, dzięki czemu w październiku zachodnia część zagłębia donieckiego miała już około trzech milionów pudów węgla wydobytego, okrąg wojska dońskiego niespełna cztery mil. pudów i stacye kolei sąsiednich około dwóch milionów. Wszystko to wszakże jest zaledwie drobnym ułamkiem ogólnej sumy zapotrzebowania. Przedsiębiorcy mieli nadzieję przed zimą zaspokoić w znacznej części spożywców, ale pomimo forsownej pracy, siły i środki odmówiły im posłuszeństwa, ceny na rynkach wzrosły do 30 kop. za pud, a większość konsumentów, szczególnie ubogich, znalazła się w rozpaczliwem położeniu.

Zjawisko to nie po raz pierwszy powstało. Podkład do przesileń węglowych na południu datuje się od r. 1880, tj. od chwili otwarcia kolei Donieckiej. Zrazu ruch gorączkowy ogarnął wszystkich przedsiębiorców, wytwarzali nad miarę aż do zniżki w stopniu sprowadzającym bankructwo. Znaczna też liczba przemysłowców bądź upadła, bądź zaniechała robót. W r. 1888 przesilenie dosięgło szczytu i, o ile pamiętamy, szerzyło straszniejsze skutki, niż obecnie. Właściciele kopalń zawołali wtedy chórem, że winni są robotnicy, a pośrodnio — urodzaj z r. 1887, który tysiące rąk wyciągnął z podziemi do sierpa. Za mniejszy bowiem wysiłek, nie połączony z niebezpieczeństwem, najemnicy otrzymywali w polu wynagrodzenie znacznie lepsze.

Następny rok, również pomyślny dla rolnictwa, jeszcze bardziej sprawę pogorszył. Zaczęto szukać środków przeciwdziałających klęsce i w tym celu zwołano zjazd przemysłowców w Charkowie (1888 r.) i uchwalono stworzyć następującą baterye dla zwalczenia przesileń: 1) Ulepszenie warunków przewozowych: budowa dróg podjazdowych kosztem właścicieli kopalń, przyległych kolei żelaznych lub państwa. (Dla ułatwienia tych robót radzono wypuścić obligacye rządowe); powiększenie taboru ruchomego na drodze Kursko-Charkowsko-Azowskiej; pogłębienie portów w Maryupolu, Rostowie, Taganrogu i Odesie tudzież doprowadzenie ich do porządku. Urządzenie przystani w Aleksandrowsku nad Dnieprem, bez pobierania żadnej opłaty. 2) Udzielanie właścicielom kopalń, nie zaś kupcom, kredytu pod zastaw ładunków węglowych, szczególnie na stacyach przeznaczenia i na składach. W tym celu: otworzyć w Bachmucie oddział Banku państwa i dopuścić górników do składu komitetów dyskontowych. 3) Zapewnienie rynkom zbytu, tj. uregulowanie stosunków wzajemnych między przemysłem naftowym i węglowym (niektóre bowiem koleje do opalania parowozów używają produktów naftowych). Środkiem pomocniczym w tym względzie miało być utrwalenie a nawet podwyższenie cła od węgla angielskiego. 4) Uregulowanie wydobywania węgla przez włościan w drodze stowarzyszeń spółkowych. Do zjazdu należeli wówczas nietylko właściciele kopalń. Między innymi brał także udział p. Aleksiejenko, profesor uniwersytetu charkowskiego, który stojąc na gruncie potrzeb ogółu spożywców, wręcz egoistycznym żądaniom przemysłowców, radził co innego, mianowicie zniżenie lub nawet całkowite zniesienie cła od węgla angielskiego, w razie drożyzny. Nadto: czasowe wstrzymanie rozporządzenia, zobowiązującego drogi żelazne do posiadania zapasów węgla na 3 do 4 miesięcy i danie kolejom pozwolenia na sprzedaż węgla osobom prywatnym, w razie braku tego produktu na zwykłych rynkach.

Jak widzimy, interesowani rozejrzeli się wówczas dokoła i żądali udogodnień, sięgających daleko po za granice ogniska ich produkcyi. Szkoda tylko, że najpierw nie zajrzeli do głębi tego ogniska i nie poszukali w niem czynników niepowodzenia. Pomimo że cząstka żądań wskazanych przyszła sama przez się do skutku (wzrost sieci kolejowej, względne wzmocnienie sił przewozowych, ulepszenia w portach), nie zapobiegła ona wszakże przesileniom, nawet w małej drobinie. Odsłońmy istotne przyczyny, pomijane świadomie, czy nieświadomie, przez interesowanych przemysłowców. Imponujące na pozór rozmiarami przestrzenie eksploatacyi węgla nad Donem składają się z drobnych przedsiębiorstw, należących w znacznej części do pojedynczych włościan. Podczas gdy bogata w pokłady Dąbrowa posiada zaledwie 13 szybów, na południu jest ich aż 800; prowadzą one swe interesy, że tak powiemy, w rozsypkę, o tyle zaś tylko mają z sobą wspólności, o ile natura nadała pewną jednolitość warstwom węgla. Działając z osobna na własną rękę posiadacze skromnych kapitalików, nie zawsze nawet mają środki dla nabycia ziemi. Skutkiem tego znaczna część kopalń donieckich powstała na gruntach, wziętych w dzierżawę dwunastoletnią. Wobec tego nie ma mowy o żadnych udoskonaleniach technicznych, któreby dały możność taniego i szybkiego wydobywania wielkich ilości węgla. Górnicy nad Donem częstokroć znajdują się

w takiem położeniu, jak rzemieślnik właściciel skromnego warsztaciku. Wykona on na czas i dobrze jedną lub dwie pary butów, ale sił i środków już mu nie stanie, gdy naraz zamówią u niego dziesięć par. Robotnicy idą do szacht tylko wtedy, gdy nie mają pilniejszego zajęcia.

(D. n.).

Zen. Piet.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. W r. z. wniesiono do warszawskiego sądu okręgowego 1240 spraw kryminalnych i 3,374 cywilnych.

— Za pośrednictwem wydziału rekomendacyi pracy przy Towarzystwie wzajemnej pomocy pracowników handlowych i przemysłowych m. Warszawy, jest obecnie zapotrzebowań 52 na posady w różnych gałęziach przemysłu i handlu, przeważnie na prowincyi (kilka do Cesarstwa). Głównie poszukiwani są: buchhalterzy, korespondenci i ekspedyenci. Wymagana jest znajomość języków: polskiego i rusklego, w niektórych ofertach — francuskiego i niemieckiego.

— *Now. Wr.* pisze, iż na wiosnę spodziewana jest masowa emigracya włościan z Galicyi do Rosyi. W r. z. władze pograniczne ruskie otrzymały rozporządzenie cofania wychodźców. „Byłoby prościej — powiada gazeta powyższa — gdyby Austrya za pomocą polepszenia warunków bytu włościan, uwolniła nas od pogranicznych kłopotów.“ W zwracaniu emigrantów pismo widzi zaprzeczenie wszelkim pogłoskom, jakoby ruch wychodźczy był objawem wywołanym przez pobudzenia zewnętrzne a nie warunki wewnętrzne.

Szkoły. Wniesiony przez ministeryum oświaty do rady państwa plan przepisów o specyalnych egzaminach na stopień nauczycielski dla kobiet, obejmuje 22 punkty. Egzaminy odbywać się mogą odpowiednio do stopni następujących: 1) nauczycielki elementarnej, 2) domowej, 3) nauczycielki w zakładach naukowych, 4) prywatnej nauczycielki elementarnej języka obcego, 5) nauczycielki domowej języka obcego i 6) języka obcego w zakładach naukowych. Na stopień nauczycielki elementarnej mogą zdawać egzamin kandydatki 17-letnie, niezależnie od tego, gdzie się kształciły.

Sprawy kolejowe. Według nowych przepisów na kolejach skarbowych, przejście urzędnika z jednej linii na drugą dozwolone jest tylko za zgodą naczelników obu dróg.

— Przy ograniczeniach biletów wolnej jazdy, lekarze po dawnemu będą mogli jeździć bezpłatnie we wszystkich pociągach osobowych i towarowych, a nawet w nagłej potrzebie na parowozach.

Wystawy. W ministeryum spraw wewnętrznych złożono około 20 podań o pozwolenie na otwarcie w ciągu r. b. wystaw przemysłowych i rolniczych.

— Doroczna wystawa nasion, zbóż i traw tudzież wszelkich nasion gospodarskich, urządzana staraniem Muzeum przemysłu i rolnictwa, w tym roku otwarta będzie 1 marca. Deklaracye składać można do 20 lutego.

— Przemysłowcy warszawscy otrzymują wezwania do udziału w wystawie powszechnej w San Francisco.

Odpowiedzi Redakcyi.

Sreblis. Rzecz słaba.

Jadzikowi. Nie.

P. J. Rz. w Działoszycach. Tego rodzaju polemika drukowaną być nie może.

Szczer. Wielb. Fragmentu Pańskiego nie wydrukujemy, gdyż sprawa ta już dostatecznie została oświetlona.

K. Z. Jest to najzwyklejszy opis wypadku bez odrobiny artyzmu.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 14 Января 1894 г.

Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.